Nr. 1. Lwów, Niedziela dnia 5. Stycznia 1879 r. Tom VIII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK VI.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

CECHY NOWEGO ZWROTU

W LITERATURZE

Jest to już rzeczą nadto widoczną, żeby jej trzeba było dowodzić, że epoka romantyczna w dziejach europejskiej literatury ma się ku końcowi. Nie przeszliśmy jeszcze za ostatni jej słup graniczny, żyjemy jeszcze wciąż resztkami zapasów romantycznych, tak obficie nagromadzonych, i zawierających w sobie tyle bogactwa poetycznego; — ale sam duch romantyczny, jeszcze nie tak dawno twórczy i z rozpiętemi skrzydłami, zjałowiał teraz, pobladł, zwinął skrzydła i widocznie chyli głowę na długi sen dziejowy. Z tego snu po wiekach jakieś nieznane pokolenie zbudzi go może do życia, jak wiek piętnasty zbudził hellenizm, ale dziś romantyzm idzie spać, nic go nie powstrzyma.

Le roi est mort, vive le roi! Duch romantyczny, który przez sto lat królował w poezji, umiera, jakiż nowy król ma zasiąść na opróżnionym tronie? Oglądamy się w koło, ale nie widzimy nigdzie orszaku królewskiego; tron stoi próżny, ale do tronu nikt się nie zbliża. Poszukajmy najznakomitszych żyjących poetów, może od nich się coś dowiemy o nowym królu. Wiktor Hugo we Francyi, Tennysson w Anglii, Zaleski, Ujejski, Lenartowicz w Polsce, — ależ to wszystko zapóźnieni przedstawiciele dawnego kierunku! Wiktor Hugo! przecież to ten sam, co piewszy torował drogę romantyzmowi we Francyi, i dziś jak Giliat z Pracowników morza głową tylko jeszcze wystaje nad wspinającą się falę nowego prądu. Tennyson, to największy eklektyk romantyzmu, jedwabiem i złotem haftujący prześliczne, ale nic do prawdy nie podobne historje. Zaleski, to przecież jeden z pierwiastków naszego romantyzmu. Inni wymienieni i niewymienieni albo milczą jak „głuche dęby w późnej jesieni,“ albo z rzadka pobrzękują w struny a zawsze na dawną nutę.

Więc może z popiołów romantyzmu żaden się nowy fenix nie narodzi? Może wraz z romantyzmem, jakto niektórzy gotowi są wierzyć, i wszelka poezja zagasa i mamy pozostać, niewiadomo na jak długo, wszarej oschłości fantazji uczuć, niezdolnych i niegodnych przelać się w słowo?

Obawy próżne i dziecinne. Poezja przygasa wtedy, kiedy się staje konwencyonalną, ale nie wtedy, kiedy chce wskrzesić umarłe formy i dla tych form poświęca życie. Romantyzm umiera: gdybyśmy chcieli sztucznie przedłużać jego życie, lub zamarłe formy balsamować, jak to czynił z klasycznemi formami pseudoklasycyzm XVII wieku, w takim razie moglibyśmy się lękać jeżeli nie zupełnego wygaśnięcia poezji, to jej chwilowego przygłuszenia i przydeptania. Ale na szczęście dążność taka, jeżeli gdzie jest, jest i bez wpływu na losy literatury. Romantyzm umiera i nikt mu nie przeszkadza konać: ztąd taka cisza w około.

Powstaje jednak ciągle jeszcze niezałatwione pytanie, jaki to nowy król duch ma objąć berło w poezji po romantyzmie? Czy wysłał już swoich heroldów w świat dla otrąbienia nowych haseł i nowych rządów? Czy jest to raczej jeszcze niemowlę złożone w kolebce czasów, z której go dopiero przyszłe pokolenia dobędą i światu pokażą, niemowlę, które samo o sobie dziś jeszcze nie może nic powiedzieć?

Powiedzieliśmy już, że najznakomitsi z żyjących poetów wszyscy należą jeszcze do dawnego świata poezji. Nie widać jeszcze nigdzie potężnego herolda, któryby z pełnej piersi zatrąbił pobudkę do nowego zwrotu; gdyby gdziekolwiek odezwał się taki śpiewak nie potrzebaby go było pokazywać palcem, bo wszystko co żyje, zerwałoby się ku niemu, jedni z przestrachem, drudzy z żalem, inni z niewymowną radością. Jednakże jakkolwiek pobudka taka nie wstrząsła jeszcze sercami ludzkiemi, można przecież przyłożywszy ucho do ziemi dosłuchać się głuchych i tajemnych szmerów, które się kiedyś mają zrosnąć w pieśń nowego zwrotu. Co więcej, już nawet w konającej literaturze romantycznej te szmery i jęki tu i owdzie się powtarzają.

Scholastycyzm odpowiadał potrzebie obciosania z gruba surowych narodów północy i dostrojenia ich do intellektualnej wysokości kościoła. Odrodzony klasycyzm przyniósł dobry smak, jasność i niepodległość sądu, której tak brakowało średniowiecznej gmatwaninie pojęć. Romantyzm z kolei odpowiedział potrzebie skonsolidowania się narodowości. Jakież się obecnie zarysowują nowe potrzeby i dążenia w życiu europejskich ludów, które wytknęły lub mają wytknąć kierunek nowemu zwrotowi literatury?

Przedewszystkiem uderzają nas dzisiaj dwa niezmierzonej doniosłości fakta: popierwsze nadzwyczajny postęp nauk przyrodniczych, oparty na metodzie pozytywnej, a jaśniejący rojem nowozdobytych prawd i hypotez; powtóre, walka społeczna, początkiem sięgająca najodleglejszych czasów, ale dziś dopiero prowadzona z całą świadomością i wzbierająca do rozmiarów przedtem niewidzianych.

Nauki przyrodnicze nowem i pełnem światłem oblały całe życie ludzkie, rozprószyły fantastyczne widziadła romantyzmu, zbudziły tysiące nowych myśli, pod ich wpływem umysł ludzki zahartował się i zmężniał i nabrał zamiłowania w prawdzie, chociażby ta prawda była gorzką jak piołun. Umysłu takiego nie będzie zajmowała ani klasyczna deklamacja, ani romantyczna maskarada; trzeba mu wszędzie prawdy: w uczuciu, w treści, w formie. Bez fantazji wprawdzie nie byłoby poezji, ale umysł, o którym mowa, wymaga, aby fantazja wydzielała gotowe kształty z życia i składała je w całość także podług wzorów, istniejących w życiu. Jednem słowem, realizm, oto jedna z głównych cech nowopoczynającego się zwrotu.

Walka społeczna porusza dziś umysły ludzkie na całej przestrzeni Europy. W niektórych krajach głuche i tajemne jej tętna przypominają groźne drgania ziemi przed wybuchem wulkanu. W innych przypomina ona prawidłowy ruch morza, powoli ale nieustannie pracującego nad obrywaniem jednych brzegów a sypaniem drugich. Wszędzie przerosła ona dziś kwestje religijne i polityczne i tylko tam, gdzie kwestje narodowościowe nie są załatwione, gdzie jeszcze narodowość musi walczyć o byt, tam tylko walka społeczna nie stanęła jeszcze na pierwszym planie. Ta walka musi się odbijać w literaturze

i dlatego drugą ważną cechę nowego zwrotu jest tendencja społeczna. Już dzisiaj wszędzie ją spotykamy; w powieści, w dramacie, komedji, nawet w liryce. Urodziła się ona jeszcze w czasach pełnego romantyzmu pod piórem francuskich powieściopisarzy, ale dziś dopiero zapanowała powszechnie.

Tak więc realizm i tendencja społeczna, oto dwie wyraźne cechy nowego zwrotu w literaturze europejskiej. Czy witać je z radością? Czy też opierać się im wszelkiemi siłami?

Ponieważ odpowiadają potrzebom czasu, więc są pożądane; opierać się im, jest to skazywać się z góry na niepowodzenie. Ale dbać o to należy, aby oba te kierunki, jeden bardziej dotyczący zewnętrznej, drugi wewnętrznej strony literatury nie wpadły w przesadę, w zbyteczną jednostronność, to jest żeby tendencja społeczna nie zagłuszała interesu psychologicznego, a realizm nie zamienił się w bezmyślne kopiowanie natury, lub co gorzej nie stał się sługą zmysłowości, jak to się zdarza u niektórych nowych powieściopisarzy francuskich. W dalszych artykułach zastanowimy się nad każdą z tych cech z osobna.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

I.

Stary sługa.

Obok starych ekonomów, karbowych i leśników, drugim typem, niknącym coraz bardziej z powierzchni ziemi, jest stary sługa. Pamiętam za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach grubo zasypanych niepamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski; był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiej Suchej Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po śp. rodzicu swoim, przy którym za czasów napoleońskich wojen był ordynansem. Kiedy w służbę do dziada mojego nastał, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał:

— Ta, byłem jeszcze gołowąsem, a i pan pułkownik — Panie świeć nad jego duszą — jeszcze koszulę w zębach nosił.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki; był kredencerzem, lokajem; latem w roli ekonoma chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódczanego, od piwnic, od lamusa; nakręcał zegary, ale przedewszystkiem zrzędził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczej jak mruczącego. Mruczał na ojca mego, na matkę; ja bałem się go, jak ognia, choć go lubiłem, w kuchni wyrabiał brewerje z kucharzem; chłopaków kredensowych ciągnął za uszy po całym domu, i nigdy z niczego nie był kontent. Kiedy zapruszył głowę, co stale zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie dla tego, żeby pozwalał sobie robić burdy z panem lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to chodził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gderając bez końca. W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca, i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególną pasją.

— Oglądaj się, oglądaj — mruczał — to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani talerz, czego gębę otwierasz? co? Widzicie go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy prowadzonej przy stole, stale się wtrącał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz bywało, ojciec odwróci się przy stole i mówi: — „Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie, pojedziemy tam a tam.“ — A Mikołaj: — Jechać? dla czego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie od tego. A niech ta koniska nogi połamią na takiej drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął, bywało czasem zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

— Czy ja powiadam, żem nie głupi. Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżej gospodyni z Niewodowa — a państwoby nie mieli jechać na wizytę. Albo to wizyta gorsza od księżej gospodyni. Wolno słudze, wolno i panu.

I tak szło już w kółko bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i brat mój młodszy, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcej niż naszego guwernera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej niż obojga rodziców. Dla sióstr był grzeczniejszy. Mawiał każdej „panienka,“ choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonii. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok, oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz bywało po lekcjach, wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmiecham się jak mogę najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej, i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń.

— Czego Henryś tu chce! Ścierkę przypaszę i basta. (A potem przedrzeźniając mnie, mówił): Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Ja już skończyłem lekcye — odpowiadam nawpół z płaczem.

— Skończył lekcye. Hę! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc szukał już po kieszeniach). Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie, i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je — zapewniał jeszcze sto razy, że się to wszystko na licha zdało, potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak on to ten pistolet trzyma — mówił — jak cyrulik s....gę. Gdzie tobie świece gasić — chyba jak dziadowi w kościele. Na księdza ci iść, zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Częstokroć po obiedzie, ja i mój brat, uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— E! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje jak stara krowa.

Ja jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołaisko, gdy oddawano mnie do szkół, buczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: — Wzięli dziecko i wywieźli. — mówił. — A niech ta umrze! Uu! u! A jemu po co szkoły. Abo to on nie dziedzic. Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko i pojechało, a ty stary łaź po kątach i szukaj czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało.

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało — ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żórawia od studni na folwarku i szczekanie psów. Okiennice w domu były pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasnem światłem, barwiącem na różowo śnieg leżący pod przyźbą. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nieszczególną. Ot po prostu nimem się opatrzył, nim przywykłem do rutyny i karności szkolnej, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowej milczącej miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni i stary Mikołaj, z nosem zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącej śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył: — Paniczku złoty! najdroższy! — jak krzyknie — i stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyna ściskać i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą, przez całe dwa tygodnie nie mógł potem darować mi tej śmietanki: — Człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę — mówił — a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał... i t. d.

Ojciec chciał, a przynajmniej obiecywał mi dać w skórę, za dwa mierne z kaligrafji i z niemieckiego, jakie z sobą przyniosłem, ale z jednej strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiej interwencja mojej słodkiej matki, a nakoniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj, stanęły temu na przeszkodzie. Mikołaj o kaligrafji nie wiedział, coby to było za stworzenie, a o karze za niemiecki, ani chciał słyszeć.

— A cóżto on luter jest, czy szwab jaki — mówił. — Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umie? co? Jakeśmy spotkali Niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i djabeł wie nie gdzie, tośmy, pada, nic nie mówili do nich po nie-

miecku, tylko pada, to pada zaraz pokazali nam grzbiety, i pada tyle.

Stary Mikołaisko miał jeszcze jedną właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w starej głowie fakta mięszały się mu jedne z drugiemi i rosły aż do fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego pułkownika, a święcie sam wierzył w to co opowiadał. Nieraz w stodole, pilnując pańszczyźniaków młócących zboże, jak im zaczął rozprawiać, to chłopi zawieszali robotę, i poopierawszy się na cepach, słuchali z porozdziawianemi ustami jego opowiadań. To się bywało spostrzegł, i w krzyk:

— Czegożeście wyrychtowali na mnie gęby jak armaty, co?

I znowu: łupu! cupu! łupu! cupu! Słychać było przez jakiś czas odgłos cepów uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

— Pisze mi mój syn, że właśnie został jenerałem u królowej Palmiry. Dobrze mu tam jest, pada, żołd pada, bierze wysoki, tylko pada, że mrozy ogromne panują... i t. d.

Mówiąc nawiasem, dzieci nie udały się staremu. Syna miał istotnie, ale był to wielki nicpoń, który doszedłszy lat, nabroił Bóg wie co, a wreszcie poszedł w świat i znikł gdzieś bez śladu — córka zaś jego, swego czasu podobno cud dziewczyna, bałamuciła się ze wszystkimi oficyalistami, jacy tylko byli we wsi, i wreszcie wydawszy na świat córkę umarła. Córka ta zwała się Hania. Była to moja rówieśnica, śliczna ale słabowita dziewczynka. Nieraz pamiętam bawiliśmy się razem w żołnierze, Hania bywała doboszem, a pokrzywy naszemi nieprzyjaciółmi. Dobra była i łagodna jak anioł. Czekała ją także ciężka dola w świecie, ale to są już wspomnienia, które do rzeczy nie należą.

Wracam tedy do opowiadań starego. Sam słyszałem go opowiadającego, że jak raz rozhukały się konie ulanom w Marjampolu, to ośmnaście tysięcy ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy. Ilu ludzi natratowały! co to był za sądny dzień nim je połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opowiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszystkim we dworze, co następuje!

— Czy się dobrze biłem? co się nie miałem dobrze bić. Raz pamiętam, była wojna z Austrjakiem. Stoję ja sobie w szeregu — no! w szeregu mówię, aż tu podjeżdża do mnie naczelny wódz — niby chcę powiedzieć: od Austrjaków, od strony przeciwnej i pada:— Ej ty Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy pada ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą wojnę skończyli.

— A o pułkowniku nie wspominał? — zapytał mój ojciec.

— A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że pada: ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwił, i rzekł:

— Ależ ty Mikołaju łżesz, jakbyś osobny żołd za to pobierał.

Stary nachmurzył się, i byłby się oburknął, ale że księdza bał się i poważał, więc zmilczał, a po chwili chcąc jakoś załagodzić sprawę, mówił dalej:

— To samo mi powiedział i ksiądz Sieklucki, kapelan. Jak raz dostałem od Austrjaka bagnetem pod dwudzieste, chciałem powiedzieć pod piąte żebro, było ze mną źle. Ha! myślę, trzeba umrzeć; spowiadam się więc Panu Bogu Wszechmogącemu z moich grzechów przed księdzem Siekluckim, a ksiądz Sieklucki słucha, słucha, a w końcu powiada: Bój się Boga, Mikołaju, pada — taćżeś ty wszystko zełgał. A ja mu na to: może być, ale sobie więcej nie przypominam.

— I wyleczyli cię?

— Wyleczyli, wyleczyli! Co mnie mieli wyleczyć. Ja sam się wykurowałem. Jak raz nie rozmieszam dwóch nabojów prochu w kwaterce wódki, jak nie łyknę na noc, tak na drugi dzień wstałem zdrów jak ryba.

Byłbym więcej nasłuchał się tych opowiadań, i więcej wam ich napisał, ale ksiądz Ludwik, nie wiem zresztą dla czego, zakazał Mikołajowi „do reszty, jak mówił, mi głowy zawracać.“ Biedny ksiądz Ludwik — jako ksiądz i cichy mieszkaniec wioski, nie wiedział, po pierwsze, że każdemu młodzieńcowi, którego burza z cichego kąta rodzinnego na szeroką arenę życia wyrzuci, musi się nieraz głowa zawrócić, a powtóre, że nie starzy słudzy i ich opowiadania, ale zgoła kto inny głowę zawraca.

Zresztą wpływ Mikołaja na nas nie mógł być szkodliwy, bo przeciwnie stary sam czuwał nad nami i nad naszem postępowaniem, nader starannie i surowo. Był to człowiek w całem znaczeniu tego wyrazu sumienny. Z czasów żołnierskich pozostał mu jeden bardzo piękny przymiot, to jest właśnie owa sumienność i dokładność w wypełnianiu rozkazów. Pamiętam jednej zimy, wilki poczęły u nas robić ogromne szkody i rozzuchwaliły się tak dalece, że nocą wchodziły po kilku i kilkunastu do wsi. Ojciec, sam zawołany myśliwy, pragnął wyprawić polowanie, że zaś chodziło mu o to, żeby nad obławą objął komendę sąsiad nasz pan Ustrzycki, znany tępiciel wilków, napisał więc do niego list, potem zawołał Mikołaja i rzekł:

— Arendarz jedzie do miasta, niech Mikołaj zabierze się z nim, niech wysiądzie po drodze w Ustrzycy i odda panu list. Tylko koniecznie przywieźć mi odpowiedź, bez odpowiedzi mi nie wracać.

Mikołaj wziął list, zabrał się z arendarzem i pojechał. Wieczorem arendarz wrócił, Mikołaja nie ma. Ojciec myślał, że może zanocował w Ustrzycy i że wróci nazajutrz razem z naszym sąsiadem. Tymczasem upływa dzień, Mikołaja nie ma, upływa drugi, nie ma, trzeci, nie ma. W domu lament. Ojciec w obawie, że może wilki napadły go w czasie powrotu, rozsyła ludzi. Szukają i nie mogą znaleźć ani śladu. Posyłają do Ustrzycy. W Ustrzycy powiadają że był, pana nie znalazł, że się o niego wypytywał gdzieby bawił, potem pożyczył od lokaja cztery ruble i poszedł niewiadomo dokąd. Zachodziliśmy w głowę, co to wszystko mogło znaczyć. Na drugi dzień wrócili posłańcy z innych wiosek z wiadomością, że nigdzie nic nie znaleźli. Jużeśmy tedy zaczęli go opłakiwać, aż tu szóstego dnia na wieczór, ojciec właśnie wydawał dyspozycye w kancelarji, nagle słyszy za drzwiami wycieranie nóg, chrząkanie i mruczenie półgłosem, po którem natychmiast poznał Mikołaja.

Istotnie był to Mikołaj, przeziębnięty, wychudzony, zmęczony, z soplami lodu na wąsach, prawie do siebie nie podobny.

— Mikołaju, bójże się Boga! coś ty robił przez tyle czasu!

— Co robił, co robił! — mruczy Mikołaj. — Co miałem robić. Nie zastałem pana w Ustrzycy, pojechałem do Bzina. W Bzinie powiedzieli mi, że się na licha zdało, bo pan Ustrzycki pojechał do Karolówki. Pojechałem i ja. W Karolówce już go także nie było. Albo to mu niewola cudze kąty wygrzewać? Czy to on nie pan? Przecie piechotą nie chodzi. Dobrze mówię. Z Karolówki poszedłem do miasta, bo mówili że pan w powiecie. A jemu co za sprawa w powiecie, czy to on wójt? Pojechał do gubernji. Miałem wracać, czy co? Poszedłem do gubernji i oddałem mu list.

— No i dał ci odpowiedź?

— Dał nie dał. Jużci dał, tylko się naśmiał ze mnie, aż mu trzonowe zęby było widać. Pan twój, pada, prosił mnie na polowanie na czwartek, a ty mi w niedzielę list, pada, oddajesz. Już, pada, po polowaniu. I znowu się śmiał. Oto jest list. Dlaczego się nie miał śmiać? Albo...

— I cóżeś ty jadł przez ten czas?

— To i cóż, że od wczoraj nie jadłem. Albo to ja tu głód cierpię. Albo to mi łyżki strawy żałują? Nie jadłem, to będę jadł...

Odtąd już nikt Mikołajowi nie wydawał bezwzględnych rozkazów, ale ile razy go gdzie wysyłano, zawsze mu mówiono, co ma robić na wypadek, gdyby kogo nie zastał w domu.

Jakoś w parę miesięcy później pojechał Mikołaj na jarmark do pobliskiego miasta, za kupnem koni fornalskich, bo na koniach znał się doskonale. Wieczorem ekonom przyszedł powiedzieć, że Mikołaj wrócił, konie kupił, ale wrócił pobity i że wstydzi się pokazać. Ojciec poszedł natychmiast do niego.

— Co tobie jest Mikołaju?

— Pobiłem się — oburknął krótko.

— Wstydź się stary. Burdy po jarmarku będziesz robił? Rozumu nie masz. Stary a głupi! Wiesz ty, że innego wypędziłbym za taką sprawkę. Wstydź się. Musiałeś się upić. To ty mi psujesz ludzi, zamiast im dawać przykład.

Ojciec mój gniewał się istotnie, a gdy się gniewał, to nie żartował. Ale co było dziwne, że Mikołaj, który zwykle w takich razach nie zapominał języka w gębie, tym razem milczał jak pień. Widocznie stary zaciął się. Napróżno dopytywali go inni jak i co to było. Odburknął się tylko jednemu i drugiemu i nie powiedział ani słowa.

Jednakowoż poturbowali go nie żartem. Nazajutrz rozchorował się tak, że potrzeba było posyłać po doktora. Doktor dopiero wyjaśnił całą sprawę. Przed tygodniem ojciec wyczubił był karbowego, który na drugi dzień uciekł. Udał się do niejakiego pana von Zoll, Niemca, wielkiego nieprzyjaciela mego ojca i przystał do niego na służbę. Na jarmarku znajdował się p. Zoll, nasz dawny karbowy i parobcy pana Zolla, którzy przygnali opasowe woły na sprzedaż. Pan Zoll pierwszy zobaczył Mikołaja, zbliżył się do jego wozu i począł na ojca wygadywać. Mikołaj nazwał go za to odmieńcem, a gdy pan Zoll, dodał nową obelgę na ojca, Mikołaj zapłacił mu za nią biczyskiem. Wówczas to karbowy, wraz

z parobkami Zolla rzucili się na niego i pobili go aż do krwi.

Ojcu memu, gdy usłyszał to opowiadanie łzy zakręciły się w oczach. Nie mógł sobie darować, że wyburczał Mikołaja, który naumyślnie o całej sprawie zamilczał. Gdy wyzdrowiał, ojciec poszedł mu robić wymówki. Stary początkowo nie chciał się przyznać do niczego, i według zwyczaju mruczał, ale potem rozczulił się, i popłakali się razem z ojcem jak bobry. Zolla wyzwał ojciec za tę sprawę na pojedynek, który Niemiec długo popamiętał.

Jednakże, gdyby nie doktor, poświęcenie Mikołaja pozostałoby w ukryciu. Tego doktora swoją drogą Mikołaj przez długi czas nienawidził. Była to rzecz taka: Miałem śliczną i młodą cioteczkę, siostrę ojca, która mieszkała przy nas. Kochałem ją bardzo, bo była równie dobra jak piękna i bynajmniej mnie nie dziwiło, że kochali ją wszyscy, a między wszystkimi i doktor, człowiek młody, rozumny i w całej okolicy nadzwyczaj poważany. Mikołaj poprzednio lubił doktora, mawiał nawet o nim, że to łebski chłopak i że dobrze na koniu siedzi, ale gdy doktor począł bywać u nas w widocznych zamiarach względem cioci Maryni, uczucia Mikołaja dla niego zmieniły się do niepoznania. Zaczął być dla niego grzeczny, ale chłodny, jak dla człowieka zupełnie obcego. Dawniej nieraz bywało zrzędził i na niego. Gdy czasem zasiedział się u nas zbyt długo, Mikołaj, ubierając go na drogę, szemrał: „Co to po nocy się tłuc. To się na nic nie zdało, czy to kto kiedy widział!“ Teraz przestał zrzędzić, ale natomiast milczał jak skamieniały. Poczciwy doktor zrozumiał wkrótce, o co idzie, i jakkolwiek uśmiechał się jak dawniej do starego dobrotliwie, przecie myślę, że w duszy musiało mu to być przykro.

Szczęściem jednak, dla młodego Eskulapa, ciocia Marynia, żywiła dla niego uczucia wprost Mikołajowym przeciwne; stało się więc pewnego pięknego wieczora, że gdy księżyc świecił w sali bardzo ładnie, gdy zapach jasminu wchodził przez otwarte okna z ogrodowych klombów, a ciocia Marynia śpiewała przy fortepianie: „Io questa notte sogno“, doktorek Staś zbliżył się do niej i spytał ją drżącym głosem, czy sądzi, że on żyć bez niej potrafi? Ciocia wyraziła oczywiście swoje powątpiewania w tym względzie, poczem nastąpiły wzajemne zaklęcia, wzywanie księżyca na świadka i wszystkie tym podobne rzeczy, jakie się zawsze w takich razach dziać zwykły.

Na nieszczęście, w tej chwili właśnie wszedł Mikołaj z zamiarem proszenia na herbatę. Gdy ujrzał co się dzieje, pobiegł natychmiast do ojca, a ponieważ ojca nie było w domu, bo obchodził na folwarku zabudowania, udał się więc do matki, która ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem prosiła go, żeby się do tego nie wtrącał.

Skonfundowany Mikołaj milczał już, gryząc się wewnętrznie przez resztę wieczora, ale gdy ojciec przed udaniem się na spoczynek, poszedł jeszcze do kancelarji dla napisania jakichś listów, Mikołaj udał się za nim i stanąwszy przy drzwiach, począł chrząkać znacząco i szurgać nogami.

— Czego tam Mikołaj chce? — spytał ojciec.

— A to tego... Jakże się nazywa?... A to ja chciałem się pana spytać, czy to prawda, że panienka nasza się... żeni — chciałem powiedzieć: idzie za mąż?

— Prawda. Albożco?

— A bo to nie może być, żeby panienka wyszła za tego... pana cyrulika.

— Co za cyrulik? Czy Mikołaj oszalał. Że też Mikołaj musi wszędzie wścibić swoje trzy grosze!

— A cóż to, panienka, to nie nasza panienka, czy to nie córka pana pułkownika? Pan pułkownik nigdyby na to nie pozwolił. Czy to panienka nie warta dziedzica i pana z panów. A doktor to z przeproszeniem co? Na śmiech ludzki się panienka poda.

— Doktor, to mądry człowiek.

— Mądry, nie mądry. Czy to ja mało doktorów widziałem? Chodzili to po obozie, kręcili się to po sztabie, a jak co do czego, jak do bitwy, to ich nie ma. Albo to pan pułkownik raz ich nazywał lancetnikami. Jak człowiek zdrów, to on go nie ruszy, a jak leży napół żywy, to on dopiero do niego z lancetem. To nie sztuka krajać takiego, co nie może się bronić, bo nic w garści nie może utrzymać. Spróbuj ty go ukrajać, kiedy on zdrów i trzyma karabin. Oj jej! wielka rzecz ludziom po kościach nożem chodzić! To się na nic nie zdało! A pan pułkownik chybaby z grobu wstał, żeby się o tem dowiedział. Co mi to za żołnierz — doktor! Albo taki też i dziedzic! To nie może być! Panienka za niego nie pójdzie. To nie jest według przykazania. Komu to tu po panienkę sięgać.

Na nieszczęście Mikołaja, doktor nietylko po panienkę sięgnął, ale jej nawet dosięgnął. W pół roku potem nastąpiło wesele, i panna pułkownikówna oblana potokiem łez krewnych i domowników w ogólności, a Mikołaja w szczególności, odjechała dzielić dolę z doktorem.

Mikołaj do niej urazy nie chował, bo nie mógł długo chować — zbyt ją kochał, ale jemu nie chciał przebaczyć. Nie wymieniał prawie nigdy jego nazwiska, i w ogóle starał się o nim nie mówić. Mówiąc nawiasem, ciocia Marynia była za doktorem Stanisławem jak najszczęśliwsza. Po roku dał im Bóg ślicznego chłopaka, po roku znowu dziewczynkę i potem już na przemiany jak zapisał. Mikołaj dzieci te kochał jak własne, obnosił je na ręku, pieścił, całował, że jednak tliła się w sercu jego jakaś gorycz, z powodu *mezaliansu* cioci Maryni, zauważyłem to jeszcze niejednokrotnie. Raz pamiętam, w święta Bożego Narodzenia zasiedliśmy do wilji, gdy nagle z dala po grudzie dał się słyszeć turkot powozu. Spodziewaliśmy się zawsze mnóstwa krewnych, dlatego ojciec rzekł:

— Niech Mikołaj wyjrzy, kto tam jedzie.

Mikołaj wyszedł i powrócił wkrótce z radością na twarzy.

— Panienka jedzie! — wykrzyknął z daleka.

— Kto taki? — spytał mój rodzic, choć wiedział już o kim mowa.

— Panienka!

— Jaka panienka?

— Nasza panienka — odparł stary.

I trzeba było widzieć tę panienkę jak wchodziła do pokoju z trojgiem dzieci. Śliczna mi panienka! Swoją drogą stary umyślnie nigdy jej inaczej nie nazywał.

Ale wreszcie skończyła się i jego niechęć do doktora Stasia. Zachorowała mu ciężko Hania na tyfus. Były to i dla mnie dni strapienia, bo Hania była moją rówieśnicą, i jedyną towarzyszką zabaw, kochałem ją więc prawie jak siostrę. Owóż doktor Staś trzy dni prawie nie wychodził z jej pokoju. Stary, który Hanię kochał całą siłą duszy, przez czas jej choroby chodził jak struty, ani jadł, ani spał, siedział tylko u drzwi jej pokoju, bo do łóżka nikomu, prócz mojej matki, nie wolno było przystąpić — i żuł twardą, żelazną boleść, która rozrywała mu piersi. Była to dusza zahartowana zarówno na trudy ciała, jak i na ciosy niedoli, a jednak mało się nie ugięła pod brzemieniem rozpaczy, przy łożu jednego dziewczątka. Aż gdy wreszcie po wielu dniach śmiertelnej bojaźni, doktor Staś otworzył cicho drzwi od pokoju chorej i z promienną szczęściem twarzą, wyszeptał do oczekujących wyroku w przyległej izbie jeden mały wyraz: uratowana! — stary nie wytrzymał, ale ryknął jak żubr i rzucił mu się do nóg, powtarzając tylko ze łkaniem: dobrodzieju mój! dobrodzieju!!

Hania rzeczywiście szybko potem wyzdrowiała. Doktor Staś oczywiście został oczkiem w głowie starego. „Łebski człowiek — powtarzał muskając sumiaste wąsy — łebski człowiek. I na koniu dobrze siedzi i gdyby nie on, toby Hania... ot! nie chcę nawet wspominać. Na psa urok!“

Ale w rok jaki po tem zdarzeniu począł zapadać sam stary. Prosta i silna postać jego pochyliła się. Zgrzybiał bardzo; przestał marudzić i klamać. W końcu dobiegłszy prawie dziewięćdziesięciu lat życia, zdziecinniał całkowicie. Robił tylko sidła na ptaszki i chował ich mnóstwo, zwłaszcza sikorek w swojej stancji. Na parę dni przed śmiercią nie odróżniał już ludzi: ale w sam dzień śmierci dogorywająca lampa jego umysłu, zaświeciła raz jeszcze jasnem światłem. Pomnę, że rodzice moi, dla zdrowia matki, byli wtedy za granicą. Pewnego wieczora siedziałem przed kominkiem z bratem młodszym Kaziem i z księdzem, który także bardzo się już był posunął. Wicher zimowy z tumanami śniegu tłukł w szyby; ksiądz Ludwik modlił się, ja zaś z pomocą Kazia opatrywałem broń na jutrzejszą ponowę. Nagle dali nam znać, że stary Mikołaj kona. Ksiądz Ludwik ruszył natychmiast do domowej kaplicy po Sakramenta, ja zaś pobiegłem co tchu do starca. Leżał na łóżku blady już bardzo, żółty i prawie stygnący, ale spokojny i przytomny. Piękną była ta głowa wyłysiała, zdobna dwiema szramami — głowa starego żołnierza i uczciwego człowieka. Światło gromnicy rzucało trumienny blask na ściany pokoiku. Po kątach kwiliły chowane sikorki. Starzec jedną ręką przyciskał do piersi krucyfiks, drugą dłoń jego podtrzymywała i okrywała pocałunkami bledziuchna jak kwiatek lilji Hania. Wszedł ksiądz Ludwik i zaczęła się spowiedź; potem umierający zażądał mnie widzieć:

— Nie ma mojego pana i ukochanej pani — wyszeptał — więc ciężko mi umierać. Ale wy jesteście paniczu złoty, dziedzicu mój... Opiekujcie się tą sierotą... Bóg wam nagrodzi. Nie gniewajcie się... Jeślim co zawinił... przebaczcie. Bywałem przykry, ale wierny...

Nagle rozbudzony na nowo, zawołał mocniejszym głosem i z pospiechem jakby mu już brakło tchu:

— Paniczu!... Dziedzicu!... moja sierota!... Boże w ręce... twoje...

— Polecam ducha, tego dzielnego żołnierza, wiernego sługi i sprawiedliwego człowieka! — dokończył uroczyście ksiądz Ludwik.

Starzec już nie żył.

Uklękliśmy i ksiądz począł głośno czytać modlitwy za umarłych.

* * *

Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Na mogile poczciwego sługi porosły bujnie wrzosy cmentarne. Nadeszły smutne czasy. Burza rozwiała święte i ciche ognisko mojej wioski. Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, ciocia Marynia w grobie, ja piórem na gorzki chleb powszedni zarabiam, a Hania...

Hej łzy się kręcą! (C. d. n.)

LEON SAPIEHA.

Śmierć męża, który przez wiele lat zajmował najważniejsze stanowiska publiczne w kraju, o ile na to pozwalały stosunki jak najbardziej nieprzyjazne rozwojowi swobodnego życia publicznego z jednej strony, a objawowi jakiejkolwiek samodzielności narodowej z drugiej strony, powinna była wywołać żywe wrażenie w kraju.

Stało się tak rzeczywiście.

Śmierć Sapiehy poruszyła umysły, pomimo że on ustąpił już był na kilka lat przed tem z widowni życia publicznego.

Nastręczyła się nowa sposobność do demonstracyj patrjotycznych, których nie potępiamy bynajmniej, ale tylko tak długo, jak długo one nie są uważane za pierwszy i ostatni kres patrjotyzmu.

Żałobnych nabożeństw, egzekwij, świetnych kazań i mów, nekrologów było może więcej, niż szczerych patrjotycznych uczuć, niż szczerego uwielbienia dla zmarłego.

Pewni jesteśmy, że nie wielu oceniło tego męża jak należało — z jednej strony przeceniano go, z innej znowu ceniono go zbyt nisko.

Sapieha, jeżeli zachował w nowym swoim żywocie właściwości ziemskie, musiał niewątpliwie ze zwykłym sobie ironicznym uśmiechem poglądać na te owacje, szczególnie ze strony tych, którzy za jego życia nie mieli dość kamieni, aby na niego rzucać; na te panegiryki drukowane w pismach, które go za życia odsądzały od czci i sławy.

Chwalić i sławić Sapiehę po śmierci stało się rzeczą tak powszednią, nawet u jego wrogów, że obawiamy się podnosić jego zalety, aby nie ściągnąć na siebie pozoru, jakobyśmy także należeli do tych, co chcą przez pochlebstwo po śmierci zagłuszyć pamięć krzywd wyrządzonych za życia.

Współziomkowie mają i prawo i obowiązek zasiąść do sądu nad zmarłym, jak to czynili starzy Egipcjanie.

Prawo to i obowiązek ten mają wszelako tylko dla siebie.

Byłoby to zarozumiałością przypisywać sobie, jakoby nasz sąd nad zmarłymi przynosił tymże korzyść jaką lub szkodę i jakoby oni naszego sądu potrzebowali. Cała korzyść z takiego sądu jest ta, że czerpiemy z rozpamiętywania czynów zmarłego naukę dla siebie. Dlatego uważamy tembardziej za rzecz słuszną, roztrząsać żywot zmarłego nie jedynie ze stron jego chwalebnych, ale i z nagannych — nie uwodzić się maxymą: *de mortuis nil nisi bene*, ale też przeciwnie nie szukać w nich tylko złych stron.

Podnosząc tak późno głos nasz o Leonie Sapieże, winniśmy uwzględnić głosy, które przed nami podnoszono.

Wszystkie nekrologi, jakie się pojawiły w pismach naszych obracają się w obrębie zwykłych tylko wspomnień pośmiertnych i nie zawierają ani szczegółów z jego życia, prócz tych, które cały kraj, cały naród zna, co patrzył na jego żywot, ani też właściwego, pouczającego poglądu na stanowisko jego w narodzie.

Wyjątek stanowi mowa pogrzebowa ks. Czesława Bogdalskiego i nekrolog hr. St. Tarnowskiego. Obadwa te wspomnienia odznaczają się nietylko powabami retorycznemi, ale oprócz tego: pierwszy z nich ognistym patrjotyzmem, drugi zaś głębszym poglądem na działalność księcia.

Nie możemy więc tych dwóch świetnych głosów pominąć bez zwrócenia na nich uwagi.

Autor niniejszej pracy miał już raz sposobność podać zarys biograficzny o Leonie Sapieże, do którego sam śp. książę dostarczył mu niektórych danych. Od tego czasu upłynął szereg lat. Kraj nasz wstąpił był wówczas w okres politycznego przesilenia, które dotąd trwa. Życie polityczne zaczęło żywiej bić, a ten żywszy ruch wywołał silniejsze działanie i oddziaływanie na siebie rozmaitych żywiołów politycznych kiełkujących przed tem a dążących teraz do bujnego rozrostu.

W takim perjodzie jest działanie męża politycznego, tak wysoko położonego, jak nim był Sapieha, wielce doniosłem. Doniosłą jest w takich razach i bezczynność lub niedołęstwo, gdyż i ta pociąga za sobą wielkie, chociaż niepomyślne dla kraju skutki. Lecz o tę ostatnią Sapiehę pomawiać, byłoby niesprawiedliwością.

Nie mogliśmy jeszcze w owym, przed dziesięciu laty napisanym zarysie biograficznym ocenić działalności jego w życiu publicznem. Obecnie wypada nam to uzupełnić. Jednak i co do przeszłości był ów zarys tylko bardzo pobieżnym, a jakkolwiek niniejszy nie może również być wyczerpującym, to jednakże jesteśmy, dzięki uprzejmości pozostałej rodziny, przynajmniej w stanie podać więcej szczegółów z życia śp. Leona Sapiehy. Czynimy to tem chętniej, ile że nie możemy się spodziewać, ażeby dosyć rychło dały się wyzyskać obfite materjały, jakie pozostały po ks. Leonie do historji jego życia.

Bardzo wymownie wskazał już p. St. Tarnowski, że ks. Leonowi Sapieże „została w dziejach naszej ojczyzny przeznaczoną osobna karta, jakich w obecnym wieku nie wiele mamy, i że historja Polski porozbiorowej musi wszyć tę kartę w swoją księgę".

Z większą emfazą nazwał go kaznodzieja nad trumną jego „wodzem narodu".

Nam się zdaje, że odpowiemy bardziej jednej, może z najważniejszych cnót nieboszczyka jego skromności a oraz godności naszej ojczyzny, gdy powiemy, że był on skrzętnym pracownikiem w sprawach kraju. Nie odmawiamy mu przez to bynajmniej tej świetnej własności, że jego żywot jest cząstką dziejów naszego narodu, bo samo jego stanowisko, sam zakres działania wielce rozległy nie pozwoli historykowi milczeć o nim. Nazwa skrzętnego pracownika wyraża już, że nie należał on do tych, którzy pomimo iż ich los postawił na wysokiem stanowisku i oddał im ster pewnych spraw narodowych do rąk, będą jaśnieć w dziejach tem, że nic nie zrobili.

Nie. Sapieha nietylko że był czynnym dla kraju tam, gdzie go zbieg okoliczności powoływał, ale stwarzał sobie sam takie stosunki, w których działać mógł i umiał je dla dobra kraju wyzyskać. To jest zasługa Sapiehy.

Kaznodzieja wynosi jego patrjotyzm do ideału; p. St. Tarnowski uważa go „prawie za wyjątek w naturze polskiej" a to głównie dlatego że łączył z patrjotyzmem wielką trzeźwość umysłu, wielki spokój ducha. Nam się zdaje znowu, że przez pamięć na jego skromność wystarczy, gdy powiemy że był *Polakiem* w tem znaczeniu, jak mówił pewien mędrzec starożytności, iż największą pochwałą jest, gdy o kim powiemy że był „człowiekiem".

Być może, iż w tej mierze nie wiele się różnimy od ks. Bogdalskiego, bo z tak rozumianą nazwą Polaka łączy się pojęcie ideału; nie różnimy się też wiele od p. St. Tarnowskiego, bo kto się zbliża do ideału, ten należy do istot wyjątkowych. Sądzimy więc, że nie czynimy krzywdy zmarłemu, mówiąc o nim bez wszelkich dodatków, że był Polakiem i dobrym pracownikiem w sprawach publicznych i nie ubliżymy przez to innym, którzy w dziejach naszych podobne mają znaczenie, bo nie mówimy w superlatywie. Aby usprawiedliwić te nasze zdania przystępujemy do szczegółów.

Leon Sapieha urodził się w r. 1803 (d. 18. września), a zatem w epoce świeżej jeszcze żałoby po upadku ojczyzny, bo rodzice jego patrzyli na ten upadek. Była to zarazem epoka wielkich nadziei dla Polski, któremi się zawsze umysły naszych patrjotów krzepiły. Nie mogło to być bez wpływu na młodociany umysł Leona, jakkolwiek cały perjod wulkanicznych wstrząśnień i przekształceń w życiu narodów zdziałanych olbrzymim wzrostem potegi Napoleona, przegrzmiał nad Europą, jeszcze nim Leon wyszedł z lat dziecięcych. Był on synem Aleksandra Sapiehy i Anny z Zamojskich. Pochodzenie to jest wielkiego znaczenia, nie dla znakomitości rodu, ale dla stosunków w jakich rodzice księcia Leona pozostali i jakich szukali z najznakomitszymi ludźmi naszej Ojczyzny.

Drobne okoliczności wywierają często wpływ na kierunek moralny i intelektualny człowieka. Tak upatrujemy w tem nawet pewne znaczenie dla kierunku w jakim działał, że nosił imię chrzestne po sławnym kanclerzu litewskim Lwie Sapieże. Jak po Sapiehach tak i po Zamojskich odziedziczył on powołanie na męża stanu, a może pewne kierunki w jego działaniu politycznem należy wprost temu przypisać. Obowiązywała go pamięć na Lwa Sapiehę, ktory jeszcze używał ruskiego języka jako dyplomatycznego; obowiązywała pamięć na Zamojskich Jana i Andrzeja, tych pomnikowych postaci w dziejach Polski. Pan St. Tarnowski podnosi to, że wielką troską jego duszy była kwestja ruska. Kwestja ta musi obchodzić każdego Polaka, więc niepotrzeba było zapewne nosić imienia Lwa Sapiehy aby nią się zajmować. Ale duch w jakim ją rad był mieć rozwiązaną ks. Leon, to że nosił, jak mówi pan St. Tarnowski w sercu tradycję i ideał Unji i czuł i wiedział że Unją tylko, dobrowolną Unją może Ruś odzyskać, kto jej ani silnie trzymać, ani silnie do siebie przywiązać nie

umiał, to że wiedział że przyszłość Polski, siła Polski może i rozmiary Polski muszą się rozstrzygnąć na Rusi i t. d., to wszystko wyznawać i uznawać, w tym kierunku działać komuż bardziej przystało, jak nie temu co nosił imię i nazwisko tego, który obdarzył Ruś ustawą w jej ojczystym języku i zajął przez to w ustawodastwie Rusi jedno z pierwszorzędnych miejsc.

W dalszym toku niniejszego zarysu będziemy mieli sposobność zwrócić uwagę na działalność Leona Sapiehy w sprawie zniesienia poddaństwa chłopów w Galicji. Któż nie pozna w tem nieodrodnego dziedzica pomysłów Andrzeja Zamojskiego?

Więcej jednak niż te genealogiczne stosunki, wpłynęły i musiały wpłynąć na kierunek umysłu Leona Sapiehy stosunki rzeczywiste, w jakich żyli rodzice jego ze znakomitymi ludźmi naszego narodu.

Dzieciństwo przepędził ks. Leon w Paryżu, dokąd jego matka zaraz w rok po jego urodzeniu, to jest w r. 1804, na dłuższe mieszkanie wyjechała. Ojciec jego podróżował wtedy po Wschodzie, której to podróży opis znany jest w naszej literaturze. Księżna Aleksandrowa prowadziła dom otwarty w Paryżu. Między najczęstszymi gośćmi matki swojej wspomina ks. Leon w pamiętniku swoim Juliana Ursyna Niemcewicza, obok Gołkowskiego, Maliszewskiego i generałowej Krasińskiej, matki Zygmunta. Kościuszko zostawał z Sapiehami w stosunkach przyjacielskich a ks. Leon wspomina, że w przejeździe przez Fontainebleau, gdy matka jego wracała do Warszawy żegnał ich Kościuszko ze łzami w oczach i błogosławił dzieci.

Ks. Leon wychował się więcej pod wpływem matki niż ojca, przynajmniej bezpośredni kierunek wychowania jego miała matka. Wspomina on o swym ojcu jako lubionym przez Napoleona, oraz że przybywszy w r. 1810 ze swojej wschodniej podróży do Paryża został zaraz przez Napoleona wysłany do Warszawy, nareszcie że przybywszy do Warszawy właśnie gdy Napoleon z armią wyruszył na Litwę, widział po raz ostatni swojego ojca, który podążył za armią i wkrótce umarł. (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY
BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

I.

Wprowadzamy czytelnika do izby obszernej, o niskim suficie, licho umeblowanej, dość brudnej, podobnej raczej do audjencjonalnej sali naszych sądów powiatowych, albo do gościnnego pokoju wiejskich stacyj pocztowych aniżeli do prywatnego salonu. A jednakże był to salon, chociaż zaprawdę salon oryginalny. Na kilku kulawych stołach z trzciny splecionych, zamiast albumów i tacek na wizytowe bilety, stały tu i ówdzie rozmaite przyrządy telegraficzne, koło nich leżały strzelby i rewolwery, pudełka z nabojami, puszki z ekstraktem Liebiga, flaszki z prawdziwą Dijońską musztardą, blaszane pudełka z konserwami ryb i raków morskich, i wreszcie dwie duże butelki z napisem „chinina“.

Dokoła jednego z tak zastawionych stołów siedziało kilku mężczyzn. Rysami twarzy, barwą włosów, a nawet i strojem różnili się oni między sobą tak dalece, że odrazu dawali do myślenia, iż z rozmaitych pochodzą okolic świata i do rozmaitych należą narodowości. Prowadzili oni dość ożywioną między sobą rozmowę, ale mniej więcej w sposób zalecany przez ową gramatykę, poczynającą się od słów: „z razu rozmawiali ludzie na migi etc.“ Wykrzykniki były bardziej w robocie niż wszystkie inne części mowy, a gestykulacje żywością swą i ekspresywnością przewyższały niezawodnie wszelką oficyalną i wypróbowaną mimikę paryskich *féeries*. Gospodarz domu, otyły Niemiec, z szlafmycą na głowie i długim cybuchem w ustach, popijał z flegmą czarną kawę z małej glinianej filiżanki, którą mu przed chwilą podało 14 letnie dziewczę, o czarnych jak węgiel oczach, kruczych włosach, o zębach białych jak kość słoniowa, ale o cerze oliwnej, niemal bronzowej, oddalającej się tem samem bardzo od ideału naszych europejskich piękności. Obok niego siedział Włoch w ryżowym kapeluszu, w nankinowej kurtce i z całym arsenałem przeróżnej broni za pasem. Gestykulował on z ową znaną żywością dzieci pięknej Italji, machał rękami jak skrzydłami wiatraków, stukał pięściami w stół, rozstawiał palce i nagle je kurczył, jak gdyby grał w „morrę“, a od czasu do czasu uderzał tak namiętnie obcasem w podłogę, że cała trzcinowa izba drżała w swych posadach. Ale bo też djablo trudnego podjął się on zadania: służyć za tłómacza pomiędzy Anglikiem, nie umiejącym ani słowa po arabsku, a Arabem nie umiejącym ani słowa po angielsku, on Włoch, który na dobitek złego umiał zaledwie po kilkadziesiąt wyrazów z każdego z tych języków.

Słońce afrykańskie... ale, ba! zapomnieliśmy powiedzieć, że rzecz się dzieje w Afryce, nad brzegami Białego Nilu, w domku wychodźcy nadsprejskiego, który otrzymawszy posadę inspektora telegrafów na jednej z egipskich telegraficznych linij, porzucił swą ojczyznę, swą jasnowłosą Gretchen, bawarskie piwo i filozofią Hegla, i przeniósł się do kraju Etiopów. Oznaczywszy tedy z całą ścisłością naukową geograficzny punkt ziemi, na którym się znajduje nasz trzcinowy dworek, prowadzimy dalej rzecz naszą.

Słońce afrykańskie, którego prostopadłe promienie przez całych dwanaście godzin roztapiały ziemię dokoła dworku i wypijały wodę z odnogi Nilu, przepływającej tuż pod drzwiami izby, podniosło w końcu temperaturę powietrza do takiej wysokości, że zdawało się, iż płuca poparzy i krew w parę obróci. Było to w lutym. My w tym miesiącu obwijamy się w flanelę i futra, tulimy się do pieców i żyjemy zaledwie nadzieją słońca; podróżni nasi i ich gościnny gospodarz żyli jego straszną teraźniejszością.

Piekąca temperatura powietrza usypiająco zaczęła działać na towarzystwo zgromadzone dokoła stołu. Czy gwoli niej właśnie, czy gwoli ożywionej i pełnej ekspresji gestykulacji, udało się wreszcie Włochowi pogodzić Anglika z Arabem. Jeden i drugi przystał mimicznie na kompromis zaprojektowany przez Włocha i dyskusja się urwała. Anglik powstał, podsunął trzcinowy fotel do drzwi izby, otwartych na oścież, a usiadłszy w nim i oparłszy nogi w pozycji wynalezionej przez rasę anglo-saksońską, począł w części drzemać, a w części poić się cudownym widokiem, jaki się roztaczał przed jego oczami. U stóp jego roztaczała się na przeciwnym brzegu strumyka szeroka łąka, pokryta kobiercem kwiatów i traw afrykańskich; a za nią na drugim planie rysował się Nil, wspaniały, imponujący zarówno rozmiarami jak i powagą swego prądu, posuwającego się zwolna, stopniowo, jak gdyby mu wcale nie było spieszno rzucić się w objęcia swej morskiej oblubienicy. Szerokość Nilu w tym punkcie wynosiła co najmniej 150 metrów, a powolny jego bieg tworzył zeń płaszczyznę tak równą i gładką jak powierzchnia zwierciadeł weneckich. Barki i statki przeróżne płynęły w górę i w dół rzeki, a tu i ówdzie stały na kotwicy olbrzymie żaglowce, przeznaczone pierwotnie do handlu niewolnikami, dzisiaj zaś stanowiące własność rządu angielskiego.

Taki sam ruch i życie, jaki panował na rzece, panował także i na obu jej brzegach. Widziałeś tu grupy etiopów i murzynów, czarnych jak heban, a nagich po biodra, zajętych ładowaniem statków kością słoniową. Duża *sakkia* (olbrzymie koło hydrauliczne, używane do nawadniania) pompowała wodę z Nilu i zlewała ją w irrygacyjne kanały. Wół i osioł, w przykładnej zgodzie, obracały oś owej *sakki*, a na wpół nagi murzyn kierował maszyną i dzikim wrzaskiem podniecał zwierzęta do pracy.

— Ciekawy jestem — odezwał się wreszcie Anglik, przerywając swe dumania, a raczej może prowadząc je dalej głośno — gdzie też my będziemy za rok o tej porze?

— Bóg to raczy wiedzieć, ale co do mnie to pewna, że nie tutaj; mam już dość Afryki i nie żywię wcale zamiaru odwiedzać jeszcze raz brzegów Nilu.

Zdanie to tak niepochlebne o ziemi Faraonów, wypowiedział człowiek, na którego dotąd nie zwróciliśmy żadnej uwagi, a który jednak znajdował się także w trzcinowym salonie Niemca. Siedział on bowiem nieco opodal, przy oknie, nie brał udziału w rozmowie lecz z zajęciem czytał ostatni numer *Daily Telegraphu*, jaki mu przywiozła poczta z Khartuum. Był także Anglikiem, co więcej, służyć mógł dla etnografa jako znakomity, typowy okaz rasy anglo-saksońskiej. Blondyn, słusznego wzrostu, barczyście zbudowany, liczyć mógł mniej więcej około lat 40. Ogolony zarost odsłaniał usta wąskie, o wardze górnej długiej i cienkiej, zdradzającej wielką siłę woli i pewną zawziętość w przeprowadzaniu powziętych myśli i planów. Nazywał się Burnaby i był kapitanem królewskiej gwardji konnej *Royal horse guards*. Dla ludzi znających stosunki angielskie tytuł „kapitana królewskiej gwardji konnej“ mówi bardzo wiele. Naprzód powiada, że człowiek, który mógł sobie kupić rangę kapitana a do tego jeszcze w konnej gwardji królewskiej, musi być bardzo bogatym; następnie, że musi należeć do *high life* angielskiego; wreszcie, że musi być człowiekiem wykształconym i człowiekiem pracy, bo nie wystarcza być bogatym i mieć w żyłach krew błękitną, aby do *horse-guards'ów* przyjętym zostać.

— Wiesz co jednak — odezwał się Burnaby po chwili milczenia — za rok o tej porze będę prawdopodobnie w Chiwie, w Taszkiendzie, albo może w Kabulu.

— Cóż u djabła, zkądże ci przyszła myśl taka dziwaczna? – zagadnął go przyjaciel.

— Wiesz zkąd? Jego carska mość, autokrata Rosji mi ją podsunął. W tej chwili przeczytałem w korespondencji z Petersburga, że car wydał rozkaz, surowo zabraniający cudzoziemcom wjazdu do azjatyckich prowincyj Rosji. Nadto korespondent donosi, że niedawno któryś z naszych rodaków chciał się udać do Taszkientu

ale został brutalnie zaaresztowany przez Moskali i wydalony z caratu.

— A zatem? Jak się tam dostaniesz, kiedy wjazd jest wzbroniony? Moskale cię nie wpuszczą, a jeżeli będziesz się upierał, to zaaresztują i jak niepysznego odwiozą do pruskiej granicy.

— Niezaprzeczenie, zaaresztować mogą, ale mam nadzieję, że tego nie zrobią.

— Jednak pocóż ci tam jechać? Czy sądzisz, że kraj tam piękniejszy niż tutaj i cudniejsze od tutejszych kobiety? Stepy i piaski, piaski i stepy. Doprawdy, nie warto to widzieć.

— Otóż to właśnie, że nie muszą to być stepy i piaski. Oddawna już pragnę poznać te kraje, bo zawsze mi się zdaje, że te pustynie środkowej Azji są mytem, albo raczej przesądem, powtarzanym machinalnie i bezmyślnie przez wszystkich. W domyśle moim potwierdza mnie teraz ukaz moskiewski. Gdyby tam były tylko piaski i stepy, to Moskale nie kryliby ich przed oczami Europy, nie zasłanialiby ich kurtyną, nie strzegliby tak starannie. Przeciwnie zapraszaliby nas raczej, gotowi byliby nam nawet opłacać koszta podróży, aby przekonać Anglją, że o taką bagatelkę jak o stepy azjatyckie sporów toczyć nie warto. Jeżeli więc kryją i wzbraniają obejrzeć, to tam wśród tych piasków lub za niemi istnieć muszą rzeczy, na które właśnie opłaci się popatrzeć.

— Zresztą — ciągnął dalej Burnaby wstawszy z krzesła i przechadzając się po izbie — będzie to tylko zrealizowanie planu, który już raz byłem powziął i napocząłem nawet. Było to podczas wojny Moskali z Chiwą. Postanowiłem był wtedy udać się do Chiwy przez Persją i Merw, aby przypatrzyć się, jak też Chiwańczycy biją się z Moskalami. Miałem nawet zamiar ofiarować chanowi moje usługi. Ale w drodze, we Włoszech, zachorowałem na tyfus i cztery miesiące przeleżałem w łóżku. Kiedy zaś wstałem, było już po wojnie. Chiwa została pokonaną, a Rosja spuściła kortynę i zakryła przed Europą ostatni akt tego strasznego dramatu. Nasz rząd w bogobojnej swej łatwowierności, uwierzył gołębim frazesom moskiewskiej dyplomacyi, dobrodusznie przyjął złamanie traktatu paryzkiego i przystał milcząco na harce kozaków po stepach chiwańskich. Politycy nasi i urzędowi dyplomaci utrzymywali, że ostatecznie od Chiwy daleko jeszcze do Indyj, że zresztą, czyż warto wypowiadać wojnę Rosji za jakie paręset mil kwadratowych pustynnego stepu; że w końcu, jeżeli zabory cara w Azji grozić mogą Anglji, to w żadnym razie nie teraz, ale za jakie lat sto lub dwieście. Bronić Indyj od Moskwy będzie tedy zadaniem naszych prawnuków; my zaś o nich równie troszczyć się nie potrzebujemy, jak nie łamiemy np. sobie głowy nad tem co zrobią przyszłe pokolenia, gdy się wyczerpią kopalnie węgla. Wśród tych akademickich dyskusyj w dziennikach i w parlamencie nad tem, czy warto śpierać się z Moskwą o Chiwę i pod wpływem powszechnego zdania, że nie warto, zacząłem już był tracić ochotę jechania do Persji. Wtem wybucha karlistowskie powstanie. Zapominam więc o Chiwie, udaję się do Hiszpanji i przypatruję się tam ciekawym epizodom gierysląsówki prawdziwej, bo przedstawionej w oryginale i niewiedzieć już w którem poprawnem wydaniu. Ale dzisiaj wracam do pierwotnego mego planu, tem chętniej i goręcej, że Moskwa zabrania mi wjazdu do Chiwy. Wypowiadam tedy wojnę carowi, ja jeden przeciw jego ośmdziesięciu miljonom. Zobaczymy kto zwycięży, a jeżeli los stanie po mojej stronie i jeżeli uda mi się pokonać autokratę Moskwy, to będę miał tę zasługę, że pokażę światu co się kryje za kurtyną moskiewską, rozciągniętą od brzegów Kaspijskiego morza po szczyty Himalajów.

W kilka miesięcy po scenie opisanej powyżej, kapitan Burnaby wyrobił sobie urlop, chętnie zwykle udzielany przez rząd angielski oficerom, mającym zamiar odbyć swoim kosztem podróż w celu bądź naukowym bądź politycznym. Wybitne jego stanowisko, wysoka protekcja, towarzyskie i rodzinne jego stosunki w sferach najwyższej arystokracji angielskiej, a nadewszystko kolosalny majątek i nieugięta siła woli i charakteru dały mu możność dotrzeć do zamierzonego celu i przyjrzeć się rzeczom ukrytym po za moskiewską kurtyną. Powróciwszy do Anglji, wydał on obszerne dzieło, w którem opisał przygody swej podróży, walkę z Moskalami, zapory stawiane mu na drodze przez rząd carski, wszystkie wybiegi, do jakich się uciekali Moskale aby go wydalić z caratu, wszelkie środki, nawet dyplomatyczne, jakich używali aby go zniechęcić do tej podróży lub zmusić do jej zaniechania. I dyplomatyczne środki odniosły wreszcie zwycięztwo. Petersburg z powodu kapitana Burnabyego zasypał notami *Foreign Office* londyński, aż w końcu wymógł na rządzie angielskim, że cofnął urlop wydany Burnabyemu i kazał mu stawić się do głównej kwatery pułku. Rozkaz ten Moskale podjęli się sami doręczyć kapitanowi i rzeczywiście dokonali tego z nadzwyczajną chyżością. Osobny kurjer wysłany został z Petersburga z kopertą angielskiego ministerjum wojny. Dognawszy kapitana i doręczywszy mu ową kopertę, oświadczył mu kurjer, że rządowi carskiemu byłoby bardzo przykro, gdyby widział się zmuszonym przypominać oficerowi angielskiemu jego regulamin służbowy i ciążący na nim obowiązek subordynacji. Żywi przeto rząd nadzieję, że kapitan powstrzyma swe turystowskie zapędy i w przeciągu 24 godzin przygotuje się do powrotu tą samą drogą, którą był przybył. Ze względu jednak, iż życie kapitana może być narażone na niebezpieczeństwo w kraju tak rozbójniczym jak Buchara i Turkiestan, rząd carski, któremu wielce na tem zależy, aby na żadną przykrość narażony nie był tak znakomity oficer jak kapitan Burnaby, ofiarowuje mu eskortę z kozaków i dragonów.

Tym sposobem kapitan Burnaby, naprzód pod eskortą kozaków, potem pod eskortą tajnej policji, odstawiony został do granicy caratu, a wróciwszy do Londynu, opisał, jak powiedzieliśmy, przygody swej podróży, i nadto pokazał światu i Anglji, co się dzieje po za kurtyną moskiewską. Odsłonił jakie to bogate kraje o jak wysokiej kulturze i o jak rozwiniętem rolnictwie i handlu zajmują miejsce owych mniemanych stepów piaszczystych; opisał gospodarkę moskiewską w prowincjach podbitych, a nadewszystko wykazał zdumionej Anglji, że ta Moskwa, która zdaniem jej zaślepionych dyplomatów może dopiero gdzieś za parę stuleci dotrzeć do granicy Indyj, jest oddalona od niej wszystkiego o 450 kilometrów, a więc mniej więcej o przestrzeń dzielącą Brody od Krakowa.

Dzieło jego wywołało niesłychaną wrzawę w Anglji. W kilku tygodniach doczekało się kilkunastu edycyj. Burnaby stał się bohaterem dnia, ulubieńcem Anglików. Na cześć jego urządzano bankiety, obierano go prezesem meetingów, imię jego wpisano w poczet pionerów polityki antimoskiewskiej. Nie przesadzimy nawet, jeżeli powiemy, że właśnie dzięki jego odkryciom, Anglja okazała się teraz tak drażliwą w sprawie afgańskiej, i tak pochopną do wojny, która z Khajberskiego wąwozu przerzucić się snadno może nad brzegi Baltyku.

O tem cennem dziele uważamy tedy za właściwe zdać obszernie sprawę czytelnikom naszym. (C. d. n.)

O BUDOWIE
LUDZKIEGO ORGANIZMU I JEGO ŻYCIU

przez

Dr. Gustawa Polińskiego.

Jednem z najwyższych zagadnień nad rozwiązaniem których pracuje i pracował duch ludzki, jest kwestja życia. Od chwili, kiedy niemowlęcy umysł społeczeństw myśleć począł, od chwili kiedy zjawiska otaczającego świata zwróciły uwagę człowieka — on uderzony ich wielkością i potęgą, najpierw ugiął się i ukorzył w tajemnej trwodze, a później ośmielony i oprzytomniony, z ciekawością dziecięcia spojrzał w oblicze matki natury. Ale ta matka była zazdrośną — nie chciała powierzyć tajemnic swoich, nie chciała unieść zasłony — co niby gęstym zwojem nieprzejrzanej siatki zakryła nadobne jej rysy. Ciemna noc zalegała szarą ziemię, przesąd i trwoga skowały ducha, z wysokiego nieba padały gromy potężnego bóstwa, i wszystko było bogiem, począwszy od rośliny, zwierzęcia i kamienia... skończywszy na żywiołach i siłach materji... Dziś jeszcze wychowaniec cywilizowanej Europy, dziś śmiały podróżnik wędrujący śród dzikich plemion napotyka owe niejako pierwsze zaczątki pojęć, od których my jużeśmy tak daleko odbiegli.

Nie możemy jednakże poszczycić się aby nauka o życiu stała się u nas wiedzą popularną, aby przenikła w masy. Zachód wyprzedził nas pod tym względem o przestrzeń wielką. Tam z naukowej katedry przemawiają zasłużeni badacze językiem prostym i zrozumiałym dla wszystkich, u nas na tem polu poczyniono dopiero pierwsze kroki. Nie myślę tutaj przedstawiać historycznego przebiegu wiedzy, nie myślę przytaczać szeregu faktów, jakim to sposobem nauka doszła do tego co dziś posiada. Wspomnę tylko że geniusze Grecji, że pisma Hippokratesa, Arystotelesa i Platona, położyły niejako podwaliny prac przyszłych. Hippokrates, to ojciec medycyny, to pierwszy wielki umysł co badał człowieka, badał naturę, badał życie — podziwiamy ten geniusz — i zapytujemy zkąd mógł tak bystro śledzić, tak trzeźwo sądzić, kiedy wszystko jeszcze było niezrozumiałem, zawikłanem i trudnem. Grecja wyzwoliła człowieka z pod władzy potęg nieznanych, zaludniła niebo ludźmi, bogami, posadziła na tronie gromowładnego Jowisza, kazała Atlasowi dźwigać niebiańskie stropy, Herkulowi staczać krwawe zapasy, walczyć z trudami.

Ta Grecja, to pierwsza niejako kolebka cywilizacyi... Po długiej martwości średnich wieków skarby starożytnego świata, djamentowym połyskiem olśniły ludzkość na nowo. I ocucił się duch badawczy, i niby schorzały orzeł, powracał do sił nowych, i bujne roztoczył skrzydła. Nasienie wiedzy, jak owe ziarna z egipskich dobyte piramid, zachowało siłę rodzajną. — Deskartes, Paskal i Bakon byli wyrazem naukowych przekonań, które wnet zakwitły tak bujnie. Chwila

poprzedzająca rewolucją francuską wydała wielkich ludzi.

Pozytywny duch wieku w pracach Lavoisiera, Laplac'ea, Bichata, skrystalizował się — wypotężniał — a czasy najnowsze, wiek XIX, przyniósł nauce w ofierze nieprzeliczony zasób faktów, obserwacją i doświadczeniem nabytych.

Anatomia czyli nauka o ciałoskładzie — posuniętą została do doskonałości — fizjologia zajmując się gorliwie czynnościami organizmu, rozwiązała niejedną ciemną dla przeszłości zagadkę, zbadała zjawiska życia, wykryła prawa tych zjawisk.

Ale niedługo później nowe otworzyło się pole, wynalazek mikroskopu pozwolił wkroczyć w najdrobniejsze niejako zakątki natury. — Nie zadawalniamy się znajomością pojedyńczych organów, idziemy dalej jeszcze.

Ze szkłem powiększającem, co potęguje siłę naszego wzroku, rozpatrujemy cząstka po cząstce pojedyncze organy minerału, rośliny, zwierzęcia, rozpatrujemy ciałoskład człowieka.

I nowy świat staje przed okiem. Astronom ruchy gwiazd śledzący i obliczający ich biegi, chemik w tyglu i retorcie badający skład ciał tak nieorganicznych jak organicznych, nareszcie lekarz obserwujący funkcje ludzkiej organizacji, dążą do jednego celu — do poznania przyrody... do zdobycia wiedzy... odkrycia istoty zjawisk, do poznania wszechświata i siebie.

A jednak Szanowni czytelnicy, mała tylko cząstka specjalistów patrzy na ten świat, jak patrzyć trzeba. Tajemnice natury tak mało są znane, jak żadna inna umiejętność. Fizjologia— owa gałęź medycyny, będąca jej podstawą, fizjologia, ta nauka o najpowszedniejszych sprawach życia organizmu — jest u nas nieznanym ptakiem. Najdziksze przekonania i przesądy panują w tej mierze między publicznością.'

Dla tego też wybrałem ten przedmiot do niniejszej pracy, aby niejako w popularnej pogawędce, choć najogólniejszy szkic przebiegu kwestyj życiowych nakreślić.

Pomówmy tedy o budowie człowieka.

Aby twór jakikolwiek zachowywał swe kształty, musi posiadać silny niejako zręb, będący że tak powiem zasadniczą podstawą budowy. Weźmy jako przykład, dom mieszkalny. Są tam fundamenta, są ściany — jest dach z krokwi i płatew ułożony, a na to dopiero idzie tynk, dachówka i tak dalej. W człowieku szkielet kostny, złożony z części twardych, stałych, i zbitych jest niejako pierwszym szkicem organicznej budowy. Składa on się z *dwustu czterdziestu* większych i mniejszych kości i kosteczek. Pojedyncze te kości są połączone z sobą za pomocą pewnego rodzaju tasiemek ścięgnistych, zwanych wiązaniem, każde połączenie takie stanowi staw, mający mniej lub więcej obszerne ruchy... jak staw kolanowy, staw łokciowy, biodrowy, ramieniowy i tak dalej. Stawy te czyli *połączenia, zestawienia* dwóch cząstek skieletu, są uformowane w ten sposób, że końce kości w skład stawu wchodzące są pokryte chrząstką gładką, a między niemi znajduje się torebka, wydzielająca płyn kleisty zwany mazią. Urządzenie takie czyni, że wnętrze stawów jest gładkie, a ruchy odbywają się swobodnie i bez tarcia, jakby w nasmarowanych oliwą zawiaskach.

Nigdyby ciało nasze nie miało tej gibkości, nigdy ruch wszelaki nie byłby tak łatwym, gdyby skielet nie był tak ruchomym, i z tylu złożonym kości. Czym dana część większą posiada łatwość poruszeń, tem więcej ma stawów — weźmy jako przykład rękę naszą.

Czaszka także nie jest jednolitą, ale składa się z pojedynczych płaskich kości. Nie są one połączone stawami, tylko stykając się bezpośrednio powierzchniami opatrzonemi w różnego kształtu ząbki i wcięcia, przystają bardza silnie tworząc mniej więcej owalnego kształtu niby pudełko kostne, dla pomieszczenia tak ważnych organów jak mózg i móżdżek.

Podstawa czaszki opatrzona otworem, osadzona jest na kolumnie kręgowej, złożonej z 24 pojedynczych kręgów, niby kółka jeden na drugim położonych. Tym sposobem tworzy się rura kostna, tak zwany kanał kręgowy, przeznaczony na pomieszczenie *mlecza pacierzowego*, który przez ów otwór w podstawie czaszki, łączy się z mózgiem, i daje początek licznym pniom nerwowym. Po bokach kolumny kręgowej, inaczej kręgosłupa, przyczepia się 24 żeber po 12 z każdej strony. Żebra te łącząc się długiemi sprężystemi chrząstkami z mostkiem, tworzą klatkę piersiową, mieszczącą w sobie płuca i serce. Z tyłu klatki piersiowej znajdują się dwie łopatki połączone wiązami z obojczykiem, a obojczyk co tak łatwo przez skórę uczuć się daje, jest znów połączony z górną częścią mostka.

Dolna część kręgosłupa, opiera się na kości krzyżowej, wchodzącej w skład pierścienia kostnego obszernych rozmiarów, zwanego miednicą. Do niej przytwierdzone są kości kończyn dolnych czyli nóg, w tak zwanych stawach biodrowych, które pospolicie *kulszą* zowie publiczność, a jeżeli powiemy że kończyny górne czyli ręce są połączone z łopatkami, tworząc stawy ramieniowe, to cała figura skieletu będzie nakreśloną.

Ów skielet kostny, stanowi, jak to już wyżej rzekłem, rusztowanie, do którego przyczepiają się muskuły. Każdy z nich ma swoją czynność i zależnie od tej czynności otrzymał odpowiednie nazwanie. Kształty również są rozmaite, jedne wydłużone jak wrzeciono, inne jak chorągiewka od pióra, inne czworokątne i t. d. Mięśnie te czerwonego koloru, na końcach posiadają ścięgna koloru perłowej macicy, i za pomocą tych ścięgień przyczepiają się, przyrastają do kości. Ułożone są warstwami jedne na drugich, i otaczając kości ze wszech stron zaokrąglają, wypełniają formę budowy ciałoskładu. Mięśnie są przyrządem ruchu, za ich to pomocą ruchome części skieletu przybliżają się do siebie, zginają, prostują, obracają na wewnątrz, zewnątrz i t. d. Każdy mięsień posiada znaczną ilość nitek nerwowych, jest on przytem kurczliwy, sprężysty. Skoro elektryczność przebiegająca po nerwach działa na mięsień, on zmienia swój kształt, grubieje, kurczy się, skraca, i tym sposobem przybliża jedną część skieletu do drugiej, powoduje ruch. Weźmy np. rękę. Ręka, jak wiadomo zgina się w łokciu. Zgina się w ten sposób, że dwie jej części, t. j. pierwsza idąca od dłoni do łokcia (tak zwane *przedramię*) staje pod kątem rozwartym, prostym lub ostrym, do części drugiej idącej od łokcia do barku, którą to część ramieniem zowiemy.

Gdybyśmy dwie listwy drzewa, połączyli ze sobą zawiaską, jedna listwa przedstawi nam przedramię, druga ramię, a zawiaska staw łokciowy. Przyczepmy do środka jednej listwy a do końca drugiej mocny sznurek elastyczny — ale tak żeby był naprężony, rozciągnięty trochę, puśćmy rękę od jednej listwy, a siła elastyczna sznurka zbliży kawałki drzewa do siebie. Toż samo czyni i mięsień, z tą tylko różnicą, że siła muskuła może się zmieniać i natężać do woli. Niepodobna mi wdawać się w szczegóły, daję najogólniejsze pojęcie, i powtarzam, że wszystkie nasze czynności, wszystkie ruchy, jak chodzenie, fechtunek, gra na fortepianie lub trąbce, mało tego, nawet mowa, śpiew, zmiana wyrazu twarzy, nie na czem innem ale na owym ruchu, na tem kurczeniu się muskułów zawisły. U gimnastyków siłaczy mięśnie są znakomicie rozwinięte ćwiczeniami stucznemi, na rzeźbach przedstawiających gladjatorów, zapaśników — widzimy jak wyraźnie kontury potężnych muskułów rysują się nawet przez skórę. (C. d. n.)

PIOSENKA.

Bracia! z nowym rokiem
Witam Was piosenką;
Załzawionem okiem,
Drżącą witam ręką.

Zawody, niedole,
Naszym dziś obrazem...
Toż mniej cierpkie bole —
Lżej zapłakać — razem.

A troska nam jedna,
Jeden smutek dany;
Piosnko moja biedna!
Znów ci ruszać rany?

Cóż? — gdy wciąż na roli
Naszej — sępów stada.
I łza mimowoli,
Na dno duszy pada.

I wciąż w myśl się wprasza
Jedna gorzka nuta:
Polska — matka nasza
Łańcuchem okuta.

Och! gdyby co żywo
Zespoliwszy ducha,
Każdy z nas ogniwo
Pochwycił łańcucha,

I dźwignął ofiarą,
Miłością i wolą,
Wnet pierzchłyby marą
Smutki co nas bolą,

Losu by tarany
Omdlały uparte,
Pękłyby kajdany
Na wpół krwią przeżarte,

I błysłyby zorze,
Co nam dzisiaj gasną,
I Polska — o Boże!
Wstałaby znów jasną . . .

. . . .

Gdybyż chciał zaświtać
Rok z taką jutrzenką!
Gdybyż nam się witać
Zwycięztwa piosenką!

Lwów d. 1 stycznia 1879 r.

M. Rodoć.

DZIECI HELENY.

Przekład z angielskiego.

Książka ta zawdzięcza swoje istnienie następującemu listowi, który otrzymałem ja, Henryk Burton, komisant domu handlowego, mający lat 28, właśnie w chwili gdym się namyślał, gdzieby spędzić świeżo uzyskany dwutygodniowy urlop. List ten brzmiał jak następuje:

Drogi Harry!

„Zawsze się uskarzałeś przedemną, że ci brakuje sposobności odświeżenia sobie, od czasu do czasu, umysłu poważniejszem czytaniem; pamiętając o tem i pewną będąc że i teraźniejsze wakacje duchowego pożytku wcale ci nie przysporzą, jeżeli je spędzisz, jak zwykle, wśród twego gwarnego otoczenia, odzywam się z propozycją, abyś przyjechał na te kilkanaście dni do nas. Z góry jednak przyznaję się, że nie jestem w tem mojem zaproszeniu zupełnie bezinteresowną, a to z następującego powodu: Ja i Tom jedziemy w tych dniach odwidzieć dawną moją przyjaciółkę i koleżankę z pensji, Alicję Wayne, która jest najlepszą pod słońcem istotą, choć Ty, niepoczciwy Harry, tego nie przyznajesz, gdy nie chciałeś mnie posłuchać i ożenić się z nią, zanim się znalazł Frank Wayne. Dawno już układaliśmy sobie pojechać do nich, bo Frank i Alicja bardzo przyjemny dom prowadzą; że jednak w ich zaprosinach nie ma wzmianki o naszych dzieciach, zapewne dla tego, że sami dzieci nie mają, postanowiłam więc Edzia i Karolka w domu zostawić. Nie mam bynajmniej powodu być o nich niespokojną, gdyż bona, jaką z niemi zostawiam, jest prawdziwym klejnotem i całem sercem dzieciom oddana, mimo to, przyznaję, że odjechałabym daleko spokojniejsza, gdyby w domu jaki mężczyzna zostawał. Boć zresztą są tu srebra i inne kosztowności, dla których lękamy się złodziei; ci zaś daleko mniej będą skłonni do napadu, gdy ujrzą na straży domu człowieka tak groźnego pozoru!! (zwalniam cię od dziękowania mi za komplement). Widzisz więc, że jeżeli zechcesz przyjechać, przyczynisz się wiele do mojej spokojności. Za to powiem Ci pod sekretem, że Tom ma właśnie w domu spory zapas wybornych cygar, wiem coś o tem niestety! gdyż właśnie przywiózł je z miasta, zamiast nowej sukni na jaką liczyłam. Ma także wina czerwone, nad któremi sam się unosi, choć ja odróżniam je tylko po kolorze od atramentu. Nasze konie są jak zwykle w wybornym stanie, a ogród w najpiękniejszym rozkwicie, widzisz że nie zapominam nawet twego dawnego upodobania do kwiatów. Naostatek, co najlepsze, tyle jest ślicznych panien między gośćmi przybyłymi na lato do Hillhrest, jak jeszcze nigdy nie bywało, a znajome ci już panienki postarają się, abyś poznał nowe gwiazdy naszego towarzystwa.

Odpowiedz mi natychmiast telegrafem. Ani wątpię że przystaniesz.

Twoja siostra
Helena.

„NB. z dziećmi nie będziesz miał najmniejszego kłopotu, bo każdy mówi, że to najgrzeczniejsze dzieci na świecie. Jeszcze słówko, będziesz stał w naszym własnym pokoju, który jest zaciszny i chłodny aż miło, przytem ma prześliczny widok z okien. Zaraz obok jest pokój dzieci, w nocy więc będziesz blisko nich i gdyby się broń Boże co stało, natychmiast usłyszysz.“

Otóż właśnie czego mi było potrzeba! zawołałem, przeczytawszy ten list i w pięć minut telegrafowałem do siostry donosząc, że z radością przyjmuję jej propozycją, a w myśli obliczałem już ile książek będę mógł przewertować w ciągu tych kilkunastu dni. Co do synków Heleny, ehociaż nie podzielam zdania ich matki, że są ósmym cudem świata, znałem ich jednakże o tyle, że się nie obawiałem z nimi kłopotu. Było ich tylko dwóch, bo trzeci najmłodszy, umarł w niemowlęctwie. Starszy z pozostałych, Edwardek, miał teraz lat pięć. Ile razy odwiedzałem Helenę, zastanawiał mnie on zawsze swoim wyrazem trochę nieśmiałym a myślącym; oczy jego wielkie i czyste, były tak przenikliwe że się prawie lękałem spotkać jego spojrzenia. Tom utrzymywał, że on się urodził filantropem lub prorokiem, a matka mówiąc o nim zawsze w uniesienie wpadała. Karolek, pieszczotliwie Charley'em nazywany, ledwo trzecie lato teraz oglądał i był sobie szczęśliwym, niczego jeszcze nieświadomem dziecięciem. Z główką okrytą złotemi kędziorkami, biegał i skakał dzień cały. Tyle o dzieciach, co do innych przyjemności jakie mi Helena obiecywała, to jest koni Toma, jego domu i ogrodu, zawsze zazdrościłem mu ich w skrytości; mile więc uśmiechała się mi nadzieja rozgospodarowania się w tem wszystkiem przez parę tygodni. Cygar i win lepszych nigdzie mi się nie zdarzyło spotykać; zaś piękne mieszkanki Hillhrestu były dla mnie tem, czem zawsze i wszędzie kobiety, to jest każda z nich, najponętniejszą płci swojej istotą. W trzy dni potem, przebywszy półtory godziny drogi z Nowego Yorku do stacji w Hillhrest, nająłem furmana, aby mnie zawiózł do majątku mojej siostry. W połowie drogi, naraz konie nam się czegoś spłoszyły, woźnica zaklął, a potem przemówił do nich uspokajająco, zwracając się zaś do mnie: „A to czyste nasłanie z temi bębnami“ — zawołał.

— Co takiego? — zapytałem.

— Ot, ten malec co nam konie spłoszył. Widzi go pan z tym patykiem w ręku, jeszcze tylko brakuje, żeby się na wózek zaprosił! o jak to do nas biegnie, ale gdzieś tu musi być i drugi, bo te bestyjki zawsze parą się włóczą, a każdemu jakiegoś licha nadadzą; to konie nastraszą, to krowy rozgonią, albo gołębie spłoszą. Zal się Boże, że to tak już za młodu wałęsa się tylko i psoci, bo ojciec i matka poczciwi, a chłopcy byliby niczego, gdyby...

W tej chwili, malec, o którym była mowa, przypadł do wózka i... o nieba! W tej brudnej marynarskiej sukienczynie, w kapeluszu słomianym, połamanym, w pończochach z których jedna aż na trzewik zawędrowała i w trzewiczkach, z których palce wyłaziły, poznałem mego siostrzeńca Edwardka. Z krzaków otaczających drogę, ukazał się wtedy drugi chłopczyna, w podobniusieńkiej jak starszy toalecie, biegł ku nam wymachując piętami i wzbijając tumany pyłu na drodze, tak że wyglądał jak ów obłok który Izraelitom służył za przewodnika w Egipcie. Gdy się zatrzymał a proch opadł trochę, poznałem w nim bez żadnej wątpliwości Charley'a.

— To moi siostrzeńcy — zawołałem.

— O dla Boga! — wykrzyknął woźnica — a toż ja zapomniałem, że my właśnie do pułkownika Lavrence jedziemy, gdybym się był domyślił, nie byłbym pewno... choć dalibóg, jenom szczerą prawdę powiedział. Niczego to wcale, ot, zwyczajnie jak chłopcy.

— Edwardku — rzekłem, starając się przybrać poważną minę — czy mnie poznajesz, czy wiesz kto ja jestem?

Błękitne oczy filantropa i proroka w przyszłości, spoczęły na mnie przez chwilę, a potem właściciel ich odpowiedział:

— Ty jesteś wuj Harry, a przywozisz nam co ładnego?

— Przywozisz co ładnego? — powtórzył Karolek jak echo.

— Powinienem był wam przywieźć rózgę za to, żeście tacy niegrzeczni — rzekłem, usiłując jeszcze surowszą minę zrobić — No właźcie na wózek.

— Dalej Charley'u — wrzasnął Edwardek jakby uszy Karolka o staje oddalone były — wuj Harry nas podwiezie do domu!

— Podwiezie do domu — powtórzył znów echem Karolek z jakimś wyrazem, jakby nawpół nieprzytomnym, który również jak i powtarzanie słów brata, był jego właściwością.

Gdy się gramolili do pojazdu, zauważyłem że każdy z nich trzymał jakiś dziwnego kształtu brudny zwitek gałganków. Nie mogąc zgadnąć użytku tych szmatek, zapytałem o to Karolka:

— To nie gałganki, to nasze laluszki — odpowiedział malec z niejaką dumą.

— Na Boga! — zawołałem — czyż matka nie może wam kupić porządnych lalek, zamiast tych szmat obrzydliwych.

— My nie lubimy kupowanych laleczek — wyjaśnił Edwardek — te są prześliczne, moja się nazywa Marja a Karolkowa Marta, wiesz wujciu, od tej Marji i Marty co to o nich w psalmach śpiewają, moja laleczka dostała niebieskie oczka a Charley'a czarne.

— Ja chcę oglądnąć twój zegarek — zawołał Charley wskakując na moje kolana i szarpiąc za łańcuszek.

— O! i ja także — wrzasnął Edward zajmując pospiesznie drugie kolano i w zapale wycierając swoje zabłocone buciki o moje nowiuteńkie podróżne ubranie. Każdy z dzieciaków otoczył moją szyję rączką dla silniejszego trzymania się na stanowisku, nie pozostawało mi nic innego, jak wyciągnąć z kieszeni zegarek i pokazać im go z obu stron.

— Ja chcę zobaczyć jak się kółka obracają — rzekł Edward.

— Chcę zobaczyć jak się kółka obracają — powtórzył Charley.

— Nie — odrzekłem — nie mogę otwierać zegarka gdy tyle pyłu wzbija się z pod kół powozu.

— Dlaczego? — zapytał Edwardek.

— Pył dostałby się do środka zegarka i popsułby go — wyjaśniłem.

— Chcę widzieć jak się kółka obracają — rzekł znowu Karolek.

— Kiedy ci mówię, że nie można — odrzekłem już z niecierpliwością — kurz psuje zegarki.

Niewinne szare oczy spojrzały na mnie z podziwieniem, śliczne choć zabrudzone usteczka rozchyliły się zwolna i Charley znów zaszemrał:

— Chcę widzieć jak się kółka obracają.

Stanowczo zamknąłem kopertę zegarka i włożyłem go do kieszonki. Natychmiast dolna warga Charleya zaczęła drżeć i odwracać się na zewnątrz i to tak, żem się aż przeląkł czy mu całkiem nie odpadnie. Wtedy głos jego zamienił się w płacz wrzaskliwy.

— Ach! ach! ach! chcę widzieć... ach! ach! ach! chcę widzieć, jak się kółka obracają!

— Karolku! — zawołałem już z gniewem — Karolku! cicho mi być natychmiast! czy słyszysz?

Za odpowiedź, śród głośnego płaczu chłopczyny usłyszałem znów: „Chcę widzieć jak“...

— Cicho bądź zaraz!

— Ach! ach! ach!... jak się kółka obracają.

— Charley'u! mam cukierki w kuferku, ale nie dostaniesz ani jednego, jeżeli nie przestaniesz tak wrzeszczeć!

— Co mi tam! chcę widzieć jak się kółka obracają, ach! ach! ach!

— Karolku! kochanie! nie płacz że tak, widzisz, jakieś panie jadą tu powozem, nie chciałbyś pewno aby cię tak rozbeczanego zobaczyły, prawda? pokażę ci kółka gdy tylko staniemy w domu.

Rzeczywiście zbliżała się otwarta kareta, a w niej piękne grono pań; Karolek w tej chwili nastroił głos do najwyższego diapazonu.

— Ach! ach! ach! chcę widzieć, jak się kółka obracają. — Desperacko wyrwałem z kieszeni zegarek i wtykając go w rękę obrzydłemu malcowi nacisnąłem kopertę i odsłoniłem mechanizm. Drugi pojazd mijał nas w tej chwili, spuściłem głowę, żeby uniknąć badawczych spojrzeń, bo mimo że chwilę dopiero byłem w miłem towarzystwie moich siostrzeńców, chwila ta wystarczyła do uczynienia mnie niepodobnym do ludzi. Nagle powóz z damami zatrzymał się — usłyszałem moje własne nazwisko i szybko podniosłem głowę, aby spojrzeć do drugiej karety. Tam, świeża, strojna, wspaniała, z promiennemi oczyma i jasną twarzyczką, siedziała uśmiechnięta i baczna na wszystko, mis Alicya Mayton, osoba, którą od roku uwielbiałem z daleka.

—Kiedyżeś pan przybył, panie Burton?—pytała — i od jak dawna pełnisz pan obowiązki niańki? Doprawdy, stanowicie wspaniałe trio! Takie swobodne! Co do mnie, nie cierpię gdy małe dzieci są na spacerach wymuskane i sztywne jak manekiny. Ach, pan bo także wygląda, jakby razem z niemi używał zabawy.

— Zaręczam panię, Miss Mayton, że moje doświadczenie w tym względzie nie było bynajmniej zabawne ani przyjemne. Gdyby żył król Herod, zapisałbym się natychmiast do jego siepaczy i ofiarowałbym się dostarczyć mu ciał dwojga bardzo zajmujących niewiniątek!

— Szkaradny okrutniku! — zawołała młoda panna — Matko, pozwól niech ci przedstawię pana Burton, brat Helenki Lavrence; jak się miewa siostra pana?

— Tego nie wiem w obecnej chwili — odrzekłem—wybrała się z mężem w odwidziny do kapitanostwa Wayne, a ja byłem dość niedoświadczony, że przyjąłem na te dwa tygodnie, zwierzchnictwo nad całym ich domem.

— O! to pan musisz sobie używać! — zawołała Miss Mayton — takie konie! takie kwiaty, taki kucharz!

— I takie dzieci! — dodałem, rzucając wzrok wiele mówiący na małych utrapieńców i odbierając Karolkowi chustkę, którą mi z kieszeni wyciągnął.

— Jakto? wszakże to najlepsze dzieci na świecie, Helenka mi to powiedziała, gdy się z nią raz pierwszy spotkałam w tym sezonie. No, dzieci zawsze muszą być dziećmi, pan wie o tem. Przeszłego roku, było u nas trzech moich małych kuzynków, za miesiąc czasu, musiałam postarzeć się o nie wiem ile lat przy tych malcach.

— Jakżeż pani młodą być musisz, Miss Mayton — zawołałem mimowolnie — przypuszczam, że musiało się na niej twarzy odbić z jak szczerego przekonania to mówię, bo tym razem nie wyszydziła mego komplementu, jak to było jej zwyczajem. Nigdy nic w rozmowie nie potrafiło zmięszać Alicyi Mayton dłużej jak na sto sekund, w jednej chwili odzyskiwała panowanie nad sobą, czego dowodem było i tym razem jej następne odezwanie się.

— Zdaje mi się, że to pan układałeś przeszłego roku dekoracje kwiatowe na uroczystość św. Stefanii? były one prześliczne, tylko nie myśl pan, że się przymawiam, broń Boże... ale jednak... tam gdzie mieszkamy, u pani Clarkson, nie ma ani jednego kwiatuszka; to też okropnie wykraczam przeciw dziesiątemu przykazaniu, ile razy przechodzę koło ogrodu Lavrence'ów. Do widzenia! Panie Burton.

— Żegnam panią! Miss Mayton, do widzenia.

— Spodziewam się, że nas pan będziesz odwidzał — wołała jeszcze w chwili, gdy powóz ruszał, tutaj tak okropnie nudno, chyba w niedzielę ożywia się trochę towarzystwo.

Skłoniłem się radośnie, krótka pogadanka z Miss Mayton, obudziła we mnie tyle niepewnych ale słodkich nadziei, że rozważając je zapomniałem o mojem zbłoconem ubraniu i o sprawcach tego przestępstwa. W obecności Miss Mayton zachowywali oni zupełne milczenie, za to teraz rozwiązały się im języczki.

— Wujciu Harry — rzekł Edwardek — czy umiesz robić świstawki?

— Wujciu — bąknął Karolek — czy ty kochasz tę pannę?

— Nie, Karolku, zkądby znów! co ci do głowy przychodzi?

— To jesteś nie dobry i bozia nie weźmie cię do nieba, gdy nie będziesz kochał ludzi.

— Tak Edwardku — rzekłem pospiesznie — umiem robić świstawki i zrobię jedną dla ciebie.

— Bozia nie lubi ludzi, którzy nie kochają bliźnich — zauważył znów Charley.

— Dobrze Charleyu — rzekłem — spróbuję czy będę mógł przypodobać się w tym względzie Bozi.

— A spiesz się woźnico, poganiaj konie, bo mi pilno raz już oddać niańce tych gentlemanów, żeby im kąpiel sprawiła.

Przybywszy na miejsce, przekonałem się, że poczciwa Helena zrobiła wszystko co mogła ku mojej przyjemności i wygodzie. Pokój jej, który dla mnie kazała urządzić, był bardzo miły, a nawet ten szczegół, że sypialnia dzieci znajdowała się tuż obok, wydał się mi znośniejszym, gdym pomyślał o przyjemności, patrzenia na miłe buziaczki siostrzeńców moich, gdy sen odbierze im możność dręczenia rozczarowanego wuja. Do kolacyi ukazali się chłopcy czysto przebrani i przecie podobniejsi do dobrze wychowanych dzieci — Charley odsunął swoje wysokie krzesło od stołu, wgramolił się na nie i zawołał: — Włóż mi nogi pod stół.

Zrozumiałem, że chodzi o przysunienie go do stołu, ku memu okropnemu przerażeniu, służąca, ponalewawszy herbatę, wyszła z pokoju; było zasadą Heleny, żeby słudzy nie znajdowali się nigdy obecnymi przy familijnych pogadankach, bo, jak mówiła, z tego wywiązywała się większa część plotek. Nigdy jeszcze nie byłem takim męczennikiem zasad! sam na sam z tymi dwoma cudami świata, to mi śliczna perspektywa! ale nie było rady, oparłem się o stół, pochyliłem głowę, z rezygnacją wymówiłem: „daj nam Boże twoje dary z wdzięcznością pożywać“ i zapytałem Edwardka, czy chce chleba, czy bułki?

— Jakto? — zawołał — przecież jeszcze nie odmówiłeś błogosławieństwa?

— I owszem, czyś nie słyszał com mówił przed chwilą?

— To nie żadne „błogosławieństwo“, tato nigdy takiego nie mówi.

— A jakież tato mówi? — spytałem.

— No, tato tak mówi: „Ojcze nasz, dziękujemy ci za twoje dary; a pomnij również i dzisiaj na wszystkich głodnych, spragnionych i nędznych, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.“ Tak tata mówi.

— Moje słowa znaczą to samo, Edwardku.

— O! zdaje mi się, że nie! i Charleyowi nie dałeś czasu powtórzyć jego błogosławieństwa. Jak będziesz takim, to cię Bozia nie będzie lubił.

— Ale będzie, będzie, Edwardku. Bozi nie trzeba wszystkiego powiadać, bo on i tak wie co ludzie myślą.

— Co znowu? Jakże może wiedzieć co Charley myśli, jeżeli Charley mu nie powie!

— Chcę zmówić moje błogosławieństwo — odezwał się Karolek. — Przestałem pospiesznie; dosyć mi było jednego zajścia z Karolkiem aby smutnie doświadczyć siły i wytrwałości charakteru młodego gentlemana. Powtórzyłem z pomocą Edwardka to, co on nazywał: tatowem błogosławieństwem. Równocześnie ze mną zaczął i Charley trzepać prędko i głośno wyrazy, a ledwo: amen wymówiłem, zawołał z widocznym tryumfem, podnosząc głowę.

— Ja zmówiłem dwa razy błogosławieństwo.

Wieczerza była wyśmienita, ale apetyt tych straszliwych dzieci, nie dał mi jej użyć spokojnie. Wstałem coprędzej, zawołałem bony i poleciwszy jej, aby dopilnowała, żeby dzieci pożywiły się do syta, a potem natychmiast spać poszły, sam zapaliłem cygaro i wymknąłem się do ogrodu. Róże były tam właśnie w samym kwiecie, aż powietrze przesiąkło czarowną ich wonią; rododendrony nie przekwitły jeszcze zupełnie; co krok napotykałem inne moje ulubione kwiaty, wonne już nadzieją bliskiego rozkwitu. Przyznaję, że obchodziłem ogród z myślą przekonania się, jakichby mi on dostarczył materjałów na bukiet dla Miss Mayton, i przegląd mój wypadł tak korzystnie, że chciałbym był módz natychmiast wziąć się do dzieła; ale zbyteczny pospiech był by właśnie nie na miejscu; przechadzałem się więc po ścieżkach z rękami założonemi w tył i twarzą ukrytą w błękitne obłoki cygara, żwir skrzypiał mi pod nogami a myśl zapadała zwolna w zadumę i marzenie. Myślałem o mowie kwiatów, o której nieraz czytałem wzmiankę w romansach, chciałbym był ją znać, jeżeli istniała; ciekawy byłem czy ją też Miss Mayton rozumie? W każdym razie miałem o sobie przekonanie, że potrafię dobrać i ułożyć kwiaty odpowiednio do gustu każdej kobiety, której twarz choć raz zobaczyłem, dla Miss Mayton zaś, ułożę coś tak przepysznego, że lice jej będzie się musiało mimo woli rozpromienić, gdy spojrzy na moje arcydzieło. Wyobrażałem sobie jak jej szafirowosiwe oczy rozjaśnią się wtedy, jak jej twarzyczka się zarumieni... nie pod tchnieniem uczucia, o nie, wcale nie! ale choć miłego zadowolenia; widziałem dalej, jak jej dumne usteczka rozchylą się zwolna i ułożą w słodkie zarysy, których nigdy nie pozwalała im przybrać, gdy rysy swoje trzymała na wodzy. Przyszło do tego, że ja, człowiek trzeźwy, rachunkowy, ja komisant domu handlowego, zrzuciwszy z siebie cały rozum i rozsądek chłodny dziewiętnastego wieku, zapragną-

łem stać się jednym z tych duchów powietrznych, elfem, mgłą, tchnieniem, o których tylko ckliwi poeci piszą, a nie mądre dziewczęta czytają, aby módz się niewidzialnie unosić nad moim bukietem wtedy, gdy się nad nim pochyli ta cudna głowa jedynego rodzaju kwiecia, który wyrasta na bruku miast naszych. Do jakiegoż kwiatu była ona najpodobniejszą? czy do lilji? nie, zbyt na to była... nie powiem zbyt śmiałą, o nie, z pewnością nie, tylko... nie mogłem znaleść odpowiedniego wyrazu, jednak byłem przekonany, że nie była do lilji podobną. Może do róży? ma się rozumieć nie do tych pysznych, nadętych remontantów, ani znów do tej nieśmiałej wiotkiej eterycznej Rose-thea, tak mglistej w niepewnych swych barwach; więc chyba do niezrównanej Gloire de Dijon? tak, tak, to ona, silna, żywotna, pewna siebie, wyróżnia się wśród delikatniejszych siostrzyczek piękności w kształcie i rozwinięciu; pociąga też nigdy nieokreślonymi cieniami barw i tak czaruje wonią wdziękiem i świetnością, że raz zachwycony nią wielbiciel wiecznie do niej powracać musi.

— Hop! hop!... hop! hop! usłyszałem z okna po nad głową, a dalej: Wójciu Henryku! wójciu Harry! w głosie tym poznałem Edwardka, nie spieszyłem z odpowiedzią, są chwile w których dusza zapełniona jest uczuciami niezrozumiałemi dla pojęć dziecięcych. „Wujciu Harry! — powtarzał Edwardek — potem słyszałem jak otwierał okiennicę i znów wrzeszczał w najlepsze: „Wójciu! chodź nam gadaj bajki!“

Zerwałem się szalenie, podniosłem oczy w górę i już chciałem w tym kierunku wysłać energiczną odmowę, ale mnie rozbroił wyraz twarzyczki, którą ujrzałem w oknie. Czyliż te dnże, głębokie oczy, te anielskie usteczka należą doprawdy do mego siostrzeńca Edwardka? Tak, niezawodnie, bo ten, nie po niebiańsku zadarty nosek i te olbrzymie odstające uszy nie mogą być niczyje jak jego. Zawróciłem więc do domu, a na schodach, spotkały mnie dwie maleńkie osóbki bose i w białych koszulkach. Wyższa z nich zawołała:

— Chcemy żebyś nam co powiedział wójciu Harry! Tata co wieczór to robi.

— No, dobrze, właźcie do łóżek, jakiej powieści chcecie?

— Oh! o Jonaszu — rzekł Edwardek.

— Jonaszu—zawtórował Charley.

— „Razu jednego, siedział sobie Jonasz „w polu i słońce piekło i było mu bardzo gorąco, „naraz wyrosło drzewo tykwowe i okryło go „swym cieniem, i było już Jonaszowi chłodno, a „potem drzewo uschło tak nagle jak wyrosło.“

Po tej mojej nie zbyt wiernej i szczegółowej wersji historji Jonasza, zapanowało na chwilę grobowe milczenie; aż wreszcie Edwardek zauważył z oburzeniem:

— To ani podobne do Jonasza, *ja* wiem lepiej o Jonaszu.

— Czy tak? — odrzekłem — jeżeli więc umiesz historję Jonasza, to mi ją opowiedz, a posłucham z przyjemnością.

— Tak więc jednego czasu, — zaczął Edwardek — kazał Bozia Jonaszowi, żeby poszedł do Niniwy, i powiedział wszystkim ludziom, że byli niedobrzy. Ale Jonasz nie chciał pójść, i wsiadł na łódkę co płynęła do Joppy. I przyszła wielka burza, i grzmiało i błyskało, i deszcz lał, że aż strach! i bałwany stawały na morzu takie duże, takie duże jak nasz dom. I majtkowie powiedzieli, że to pewno dla tego, że Bozia nie lubi któregoś z ludzi na łódce, i Jonasz zgadł, że to jego, i powiedział to im. A oni go wzięli, i wrzucili do wody; ale ja myślę, że zrobili bardzo źle, kiedy Jonasz sam przyznał się do winy. Więc przypłynął wielki wieloryb, i był okropnie głodny, bo wszystkie małe rybki które on zjada, schowały się na dno morza przed burzą, a wieloryby nie mogą iść na dno, bo potrzebują wypływać na wierzch dla oddychania, a małe rybki nie potrzebują. I Jonaszowi było bardzo ciemno w wielorybie; i nie było gdzie ognia rozpalić; i wszystko naokoło było mokre; i nie mógł zdjąć sukien, żeby je wysuszyć, bo nie było ich na czem powiesić; i nie było tam nawet okienka do wyglądania na świat, ani niczego do zjedzenia, ani nic, ani nic, ani nic! Więc prosił Bozi, żeby go wypuścił, i Bozi go się żal zrobiło, i kazał wielorybowi przypłynąć z nim do brzegu, i Jonasz wyskoczył mu prosto z buzi, i prawda wójciu, że się musiał *okropnie* ucieszyć? A potem poszedł do Niniwy, i zrobił to co mu Bozia rozkazał, a co powinien był zrobić jeszcze pierwej, bo Bozi zaraz słuchać potrzeba.“

KRONIKA NAUKOWA.

(Jedność materyi. Doświadczenie Lockyera z widmami pierwiastków. Oświetlenie elektryczne. Lampy elektryczne systemu amerykanina Mana i Sawyera.)

Wielką wrzawę wywołała w ostatnich dniach wiadomość o odkryciu znakomitego fizyka angielskiego Normana Lockyera, który jakoby zdołał udowodnić, że ciała, które dotąd uważane były za pierwiastki, są ciałami złożonemi, i że w wszechświecie jest jedna tylko materja zasadnicza, której wszystkie pierwiastki są tylko stanami rozmaitego zgęszczenia.

Wiadomość ta przyjętą została z niedowierzaniem przez koła naukowe, natomiast dzienniki roztrąbiły ją na wszystkie strony i w zwykły sobie sposób przedstawiły odkrycia Lockyera w barwach tak pięknych, o jakich się autorowi nawet nie śniło.

W każdym razie jest to rzecz zasługująca na szczególniejszą uwagę, jestto sprawa pierwszorzędnej doniosłości naukowej, radzibyśmy więc poznajomić z nią nieco bliżej naszych czytelników.

Wiadomo każdemu, że chemicy, rozkładając ciała znajdujące się w przyrodzie, doszli do pewnej liczby ciał takich, których zwykłemi drogami dalej na części składowe rozłożyć nie można. Ciała takie nazwano *pierwiastkami.*

Lockyer, na podstawie długoletnich poszukiwań, posługując się rozbiorami widmowemi twierdzi iż ma *pewne poszlaki*, że tak zwane dotychczas pierwiastki są ciałami złożonemi. Nie jest więc to pewność absolutna, lecz tylko przypuszczenie, nie stwierdzone jeszcze dotychczas pozytywnymi faktami.

Na czem polegają rozbiory widmowe nie potrzebujemy się szeroko rozwodzić; niejednokrotnie podnosiliśmy ich znaczenie w naszych kronikach. Wiadomo wszystkim, że promień światła przechodząc przez szklanny pryzmat, rozszczepia się na szereg barwnych promieni, które na ścianie pojawiają się w odbiciu jako pasek złożony z siedmiu barw tęczowych, zwany *widmem.* Każde ciało świecące, daje takie widmo. Otóż przekonano się, że w pewnych warunkach, każde ciało ma różne od innych widmo, po którem można nawet poznać, od jakiego ciała ono pochodzi. Przekonano się że ciała w stanie rozrzażonej pary dają widma nie ciągłe, lecz złożone z prążków zajmujących dla różnych ciał różne położenia. I tak np. palący się wodór, daje prążki w innem miejscu niż sod w stanie pary rozżarzonej, inne znowu żelazo i w ogóle inne każde ciało. Na podstawie tej zadziwiającej własności widma zaczęto używać je do rozbiorów chemicznych, w ten sposób, że skoro jakieś ciało nieznane rozżarzono, i promienie światła przez to ciało wydawane przepuszczono przez pryzmat, to otrzymano widmo z prążków złożone. Mierząc położenie tych prążków, można ściśle oznaczyć jakie ciało je wywołało.

Tą drogą badania, zastosowaną przez uczonych Kirchhofa i Bunsena, potrafiono zbadać skład ciał niebieskich, rozbierając promienie, które te ciało do nas przesyłają i przekonano się, że wszechświat złożony jest z tych samych ciał, które na ziemi naszej spotykamy.

W ostatnich czasach udoskonalono do możliwych już prawie granic, przyrządy służące do badania widm od różnych ciał pochodzących, tak zwane spektroskopy. Jednocześnie z rozwojem tych aparatów, okazała się potrzeba dokładnych tablic, z którychby można było po zrobieniu obserwacyi i po zmierzeniu położenia prążków, znaleźć jakie ciała te prążki wydały. Otóż Lockyer, od czterech lat pracuje nad narysowaniem wielkich rozmiarów widma, któreby zawierało jak najdokładniej wszystkie prążki pochodzące od ciał znanych. W tym celu musiał robić niezmiernie wiele doświadczeń i to w warunkach nadzwyczajnej dokładności. Musiał wywoływać sztuczne widma paląc metale w płomieniach gazowych, dla wywołania większego ciepła w łuku elektrycznym i porównywać je z widmem słonecznem lub innych ciał niebieskich. W tym celu zdjął 2000 fotografij z widm różnych metali, a zrobił przeszło 100 000 ocznych obserwacyj.

Podczas tych badań spotkał się z niektórymi faktami, które mu dały wiele do myślenia. Oto prążki, które pewne pierwiastki dawały, w niektórych szczególniejszych warunkach, zmieniały swoje położenie, tak, jakby pierwiastek sam podlegał rozkładowi i tworzyły się nowe ciała.

Już rok temu Lockyer, przedstawił paryzkiej akademii umiejęt. jedno z pierwszych i najbardziej uderzających doświadczeń w tym kierunku. Miał wtedy do czynienia z metalem wapniem, wchodzącym w skład zwykłego wapna. Gdy metal ten wstawiał w łuk światła elektrycznego, to otrzymał prążki dla tego pierwiastku charakterystyczne. Gdy jednak temperatura się podnosiła, prążki odpowiadające wapniowi znikały powoli, a na ich miejsce okazywały się prążki odpowiadające najlżejszemu ze znanych pierwiastków, wodorowi. Doświadczenie to przemawiało za tem, że w wysokiej temperaturze pierwiastek wapień się rozszczepia, zmienia swój zwykły stan gęstości i przekształca się na wodór.

To pierwsze odkrycie popchnęło Lockyera do dalszych badań na tem polu i przed niewielu dniami przedstawił w królewskiem towarzystwie nauk w Londynie, rezultaty zdobyte w ostatnich czasach, które kwestyą tę popchnęły o tyle naprzód, iż obecnie zdaje się prawdopodobnem, że wszystkie pierwiastki dają się w ten sam sposób rozłożyć.

Lockyer, przedewszystkiem podnosi zjawisko, znane w astronomii fizycznej, które każe mniemać, iż wskutek podwyższenia temperatury, podwyższenia, o którem my na ziemi tylko słabe

pojęcie mieć możemy, wszystkie pierwiastki rozkładają się, i zamieniają się na jeden zasadniczy, zbliżony do wodoru, najlżejszego z gazu. I tak np. gwiazdy posiadające najwyższą temperaturę, mają najprostsze widma, o najmniejszej ilości prążków, i to prążków podobnych do wodorowych. Przykładem tego jasno świecący Syryusz o wybitnym, grubym prążku wodorowym, a natomiast o bardzo cieńkich prążkach metalicznych. Tymczasem, gwiazdy ciemniejsze, jak np. nasze słońce, zawierają już mnóstwo prążków od pierwiastków metalowych pochodzących. W gwiazdach najzimniejszych spotykamy już obok prążków wybitnych pierwiastków, prążki pochodzące od ciał złożonych. Fakta te dają się wytłumaczyć za pomocą przypuszczenia, iż gdy temperatura wzrasta, ciała złożone rozpadają się naprzód na tak zwane pierwiastki, a następnie te „pierwiastki“ polegają przy wzroście temperatury jeszcze dalszemu rozkładowi na ciała o mniejszym ciężarze atomowym.

Doświadczenia z wapniem, o którem wyżej wspominaliśmy, Lockyer starał się powtórzyć i z innymi pierwiastkami i otrzymywał nieraz zmianę widma, przy zmianie temperatury. Nie możemy się wdawać w szczegółowy opis tych badań, nadmienimy tylko, że doprowadziły one do pewnych ogólnych rezultatów, które każą przypuszczać, iż pod wpływem wysokiej temperatury, wielka ilość pierwiastków, zmienia swą istotę i zamienia się w ciało o mniejszej gęstości.

Jednakowoż z tego nie można jeszcze wnosić, jakoby się miało pozytywny dowód, że w wszechświecie jak z jednością siły, tak też i z jednością materji mamy do czynienia. Filozoficznie biorąc, kwestja ta od dawna została rozwiązaną, lecz dowodów pewnych, któreby nauka przyjąć mogła, mimo ostatnich prac Lockyera, dotychczas jeszcze nie posiadamy.

* * *

Zdaje się, że przyszła już ostatnia chwila, w której zadanie praktycznego zastosowania światła elektrycznego zostanie rozwiązanem. Od roku, we wszystkich znaczniejszych laboratorjach odbywają się próby w tym kierunku, i co chwila czasopisma naukowe donoszą o jakiemś nowem ulepszeniu. Widać, że jest to potrzebą chwili, więc też w tym kierunku wytężają się umysły wynalazców.

Jednym z ostatnich przyczynków do tej kwestji, są lampy elektryczne systemu Amerykanów Mana i Sawyera. Urządzenie ich jest bardzo proste, a rezultaty, o ile wierzyć można sprawozdawcom, wcale zadowalające.

Lampy systemu Mana i Sawyera dają światło przez rozżarzenie. Wiadomo, że jeżeli przez mały kawałek węgla zaczniemy przepuszczać dość silny prąd elektryczny, to zacznie się on rozżarzać i szybko dojdzie do żaru białego, rozsiewającego naokoło siebie światło podobne do słonecznego.

Na tej zasadzie oparte są lampy dawniejszych nieco systemów Regniera we Francji i Wedermana w Anglji. Jednak lampy te przedstawiały wielką niewygodę. Węgiel rozżarzony do białości szybko się spalał łącząc z tlenem powietrza i trzeba było urządzać mechanizmy, któreby automatycznie coraz świeże kawałki węgla do rozżarzania podsuwały.

Sawyer usunął tę niedogodność jednym zamachem. Oparł się na znanej własności, że węgiel świeci we wszystkich gazach, skoro się przezeń przepuszcza prąd elektryczny, lecz w jednych z nich, jak naprzykład w powietrzu spala się, w innych zaś, jak np. w azocie pozostaje bez zmiany. Wziął więc rurkę szklanną, o średnicy mniej więcej 3 centymetrow, napełnił ją czystym azotem i wewnątrz umieścił kawałek sztucznego węgla, między obu biegunami bateryj, od których druty wchodzą do wnętrza rurki.

Światło z takiej lampy otrzymane, ma być bardzo spokojne i miłe dla oka, a lampy mają tę niezmiernie ważną zaletę, że w jednym obwodzie elektrycznym można ich umieścić w dowolnej ilości. *B. Abakanowicz.*

Tydzień Lwowski.

Lwów dnia 3. stycznia.

(W) Szanowni czytelnicy zróbcie toż samo co wasz kronikarz tygodniowy i nie wierzcie już nic i nikomu na świecie. Rok temu witając nowego podówczas monarchę świata, dziś nam szczęśliwie złożonego do grobów historji, nie żałowałem ani komplementów, ani zachęcań i dobrego słowa jak komu uczciwemu, a on hultaj tylko że obejrzał się trochę po swojem królestwie zaczął broić gorzej niż osławiony Nero onemi czasami w Rzymie. Ze wszystkiemi powinszowaniami naszemi, ze wszystkiemi nadziejami obszedł się daleko niegodziwiej niż Stańczykowie z Hausnerem, wyborcy Brzeżańscy z panem Czerkawskim, handlujący wędliną z otwartym listem pana Abrahamowicza, Matejko z berłem, haniebniej niż Czechy z Centralami, niż Moskale z jego szachowską Mością Szir Alim..... Więc powiedźcie mi, za co mamy być mu wdzięcznymi, za co stawiać mu pomnik na Wawelu, do czego zapewne Czas nieomieszka namawiać. Już przed samą śmiercią, kiedy ledwie już dyszał, a nowy następca prowadził konszachty z Beaconsfieldem, Gorczakowem i c. k. prokuratorją, wyrzucił jeszcze z siebie ostatek żółci w trzydziesto-centowej broszurze „Z sejmem.“ Niech mu Bóg tego czynu nie pamięta, i niech mu i samej broszurze ziemia będzie lekką.... To całe szczęście, że poroniony płód razem z przestarzałym ojcem wstąpili obadwaj w krainę zapomnienia i jak się zdaje bez ostatniego pomazania... Djabeł zatem, choćby krakowski, weźmie ich jak swoich zostawiwszy trochę wyziewów siarczanych przynajmniej u nas we Lwowie. Ale bo też i ten Lwów to strasznie ograniczona istota — w nic nie wierzy. Pisz do niego, mów, drukuj, kładź mu jak łopatą do głowy różne rozsądne rzeczy, jak naprzykład mowę pana Czerkawskiego w Brzeżanach, a od niego odbija się to wszystko niby groch od zakutej głowy. Nie może i nie potrafi zdobyć się na odwagę cywilną zostawiając ex-posła lwowskiego samiuteńkim jedynym jak palec Boży na całej przestrzeni od Łyczakowskich rogatek aż po Kulparków, a nawet z włączeniem do tego terytorjum samego zakładu dla obłąkanych. I pytam ja naszych kochanych czytelników, czy to nie szkoda czasu i atłasu, czy to nie szkoda tych missjonarzy i proroków? Te warchoły lwowskie gotowi ich kiedy ukamienować, choćby gałkami ze śniegu, albowiem sparzywszy się raz pochodniami, będą teraz na lód chuchać...

O ile słyszeliśmy, niestrudzeni trzeźwiciele pijaństwa patrjotycznego, mają zamiar wysłania tu jeszcze ostatniej ekspedycji z żywych osób dla nawracania jawno-grzeszników; niewiadomo tylko czy nowo wstępujący na tron tysiąc ośmset siedmdziesiąty dziewiąty na to pozwoli. A powiem otwarcie czytelnikom, jakoś mu niezbyt dobrze z oczu patrzy: jeszcze nie przemówił słowa, nawet ust nie otworzył, a zaczął płakać krokodylemi łzami i dzięki Bogu cały dzień płacze, nos obciera, gdy jednocześnie zabrał nam już sannę i napędził Piotra stróżom kamienicznym, którzy rąbiąc przez cały dzień chodniki i spychając na głowę przechodzących białe szaty chłodzącego śniegu, nie mieli czasu złożyć swych fortunnych życzeń wielmożnym lokatorom. Szkoda sanny, która jak dotąd była dla nas zawsze symbolem konstytucji, po której kto nie chce potrafi gładko jeździć ustawowemi sankami. Jeżeli kto z was szanowni czytelnicy zajmował się badaniem różnej krzywizny na świecie, to musiał dostrzedz że znak używany na oznaczenie paragrafów ma wiele podobieństwa do płozów, na których osadza się samo pudło sanek. Ztąd też i na tych paragrafach jeździ się jak na łyżwach lub saniach, i jakby tylko przyczepić do dyszla głośny dzwonek dobrych intencyj, to wjechawszy na drogę idącą ku Warszawie naprzykład, można zajechać do Serajewa. Dalibóg że prawda; znamy jednego ministra, któremu się coś podobnego trafiło, i znamy również jedno stronnictwo w Galicji, które przeciwnie wybierając się do Bośnii, bardzo łatwo może zajechać do Petersburga.

Już to podczas tej krótkotrwałej sanny, mieliśmy więcej tego rodzaju szlichtady. Ot niedaleko szukając Szczutek lwowski, sławny na całą Galicyę łyżwiarz, chłopiec wesoły, przyjemny i powszechnie kochany, jakiś czas łyżwy swoje przypasywał sobie zakrzywionemi nosami do obcasów, i zaczął w tył harcować. Szczęściem że na swojej drodze spotkał lwowskiego Warchoła, który mu powiada: „a pfe panie Szczutku jakże można tak ludziom głowy mącić! Spojrzyj no za siebie, dziesięć lat jeździłeś jak porządny młodzieniec zawsze naprzód, otwartą drogą ręka w rękę ze swoimi czytelnikami, a teraz ci przyszła do głowy rejterada wstecz.... No i cóż powiecie? Poczciwy chłopczyna usiadł na lodzie, łyżwy przekręcił jak się należy i od dwóch tygodni wywija tak samo zgrabnie jak przedtem esy i floresy po lodzie galicyjskim i publiczność cała pogłaskała go znów po miłej główce i mówi: kochaneczku mój, ślizgaj się znów, tylko ostrożnie, rękami nie machaj bardzo, żebyś się nie zaziębił i kaszlu nie dostał. No i powiedzcież teraz szanowni czytelnicy, że przecież warchoły lwowskie, te wyśmiewane przez Kraków warchoły, jeszcze na coś przydać się mogą!

Co tam w dalszym ciągu zrobi ten nowy siedmdziesiąty dziewiąty jak się wypłacze i oczy obetrze — trudno mi przewidzieć, lecz że wiele obiecuje, to już z oczu jego mogliśmy wyczytać. W sam dzień inauguracji swojej, dał trzy przedstawienia w teatrze lwowskim dla trzech rodzaju widzów, to jest dla prostych „Krakowiaków i Górali“, dla krzywych „Raka morskiego“, obłożonego kwiatem z Tlemcenu i mężem rozpieszczonym, a dla melomanów nieco nadkrzywionych „Aidę“ z panią Caracciolo. — Dyrekcja okazuje się coraz więcej łaskawszą dla publiczności tak, że jeżeliby się znalazł jeszcze jakiś stan widzów pominięty w tym programie, gotowa w rannych godzinach dawać czwarte przedstawienie. Droga żądań otwarta — proszę korzystać ze względów dyrekcji.

Otóż jak widzicie początek niezły: np. ten Mąż pieszczony, w dzisiejszych czasach pieszczenia tylko żon, musi być osobliwością. A jeżeli jeszcze dalsze prezenta noworoczne będą takiej aparycji jak pani Caracciolo — no, to otucha musi wstąpić do serca wszystkich suchotników, że nie pomrą w tym roku na konsumpcję.

Dalej na Trzech króli jedni akademicy obiecują redutę, ale to panie redutę ze wszystkiemi znanemi szykanami akademickiemi, jeszcze z festynów letnich, obieranie królów, królowych, loterją i innemi nieznanemi nawet Edisonowi odkryciami. Drudzy akademicy dają tygodniowe wieczorki tańcujące w sali *Frohsinn;* nie żartuję, ale tygodniowe i tańcujące, choć tego rodzaju ćwiczenia w programie bieżącego semestru naukowego wcale nie są zamieszczone. Dzięki Bogu, że młodzież nasza z tym Nowym rokiem wzięła już rozbrat z polityką i zabiera się na serjo do pracy produktywnej. Jak tam muszą się cieszyć w Krakowie z takiego zwrotu? Daj Boże, daj Boże, niech się ćwiczą w gimnastyce tańcowania, bo to i w nogach nabędą wprawy i głowy będą mieli całe, i nie narażą policji na tępienie pałaszy...

Dla naszego też Tygodnia jegomość Nowy Rok kazał mieć wiele nadziei, o ile słyszałem nawet takiej, która niekoniecznie potrzebuje czekać aż dziewięć miesięcy na jej zrealizowanie, bo pierwszy kwartał ma mu napędzić niezawodnie pięciuset nowych prenumeratorów. Otóż wobec tak różowych widoków i obietnic nowego władcy świata, pozwólcie czytelnicy, że i kronikarz Tygodnia, skromny lokator, mieszkający kątem w tej izbie, poważy się zrobić od siebie trochę nadziei. Wszystkie pisma perjodyczne pozapowiadały tyle nowości, tyle premiów, poodtwierały przed wami wszystkie redakcyjne kryjówki (nb. prócz kasy i listy prenumeratorów), że i ja musiałem sobie nasprowadzać na gwiazdkę trochę nowości, z któremi w następnych numerach Tygodnia mam zamiar podzielić się z czytelnikami: I tak:

1. Dla wszystkich uczących się, podam sposób wykształcenia się za pomocą czytania tylko jednego Tygodnia. Jeżeli nie nabędą wiele, to mniej nie będą umieli niż cała nasza redakcja, która przecie daje dowody, że sporo oleju w głowie posiada.

2. Dla panien, nawet nie życzących sobie pójść za mąż, mam amerykańską receptę, że muszą iść czy chcą, czy nie chcą w tym roku (szanowni rodzice zwracam na to szczególniejszą waszą uwagę).

3. Dla młodych paniczów umieszczę instrukcję, nie ożenienia się, bo ta rzecz w poprzedzającym paragrafie jest zdecydowaną, ale objaśniającą dokładnie sposób zrobienia karjery bez żadnej z ich strony pracy w ciągu dni trzech.

4. Dla mężatek wszelkiego stanu przepis robienia eleksiru utrzymania na długie lata małżonków u nóg swoich, a nawet i podnóżkami, gdy jednocześnie wszyscy inni szaleć za niemi będą, a na żądanie gotowi sobie w łeb palić z miłości.

5. Dla mężów znowu napiszę kodeks o stu paragrafach, w którym znajdą sto sposobów zdobywania na sobie cierpliwości, potulności i czołobitności dla żon swoich i nie swoich; wykształcę ich gust do robienia przyzwoitych prezentów i nauczę w jaki sposób napełnić swoją kasę bez obrazy któregobądź z przykazań bożych...

6. Dla starych kawalerów i innych tego rodzaju stworzeń bezużytecznych funkcjonujących jedynie z dopuszczenia Boskiego, mam kilkanaście środków zaradczych na różne dolegliwości ciała (wiadomo bowiem, że tego rodzaju istoty nieżonate duszy ani serca nie mają) i środki te, żeby nie gorszyć młodych, będę przesyłał na żądanie w kopertach opieczętowanych, bez zaliczki, tylko za okazaniem kwitu prenumeracyjnego na Tydzień.

7. Dla różnych specjalnych zajęć czytelników mam w zapasie bardzo użyteczne rady: jako to dla gospodarzy wiejskich, dla kupców, przemysłowców, profesorów, aptekarzy, doktorów, urzędników i innych czytać umiejących, które zamieszczać będę w miarę potrzeby i zgłaszania się, nawet terna do wygrania na c. k. loterji daleko skuteczniej wskażę, niż p. profesor Orlice...

Zapewniwszy sobie współpracownictwo najpierwszych tego rodzaju reporterów we wszystkich częściach świata, mam nadzieję nie gorzej wywiązać się ze swego zadania, niż rozpoczynający się rok Nowy 1879. Zatem kto nie chce samochcąc odpychać szczęścia włażącego mu gwałtem do ręki, niech przyśle co najmniej kwartalną prenumeratę na Tydzień a zobaczy...

* * *

(*B.*) W dzisiejszym numerze rozpoczynamy powieść autora, nieznanego u nas zupełnie, który jednak zdołał kilkoma utworami zjednać sobie pierwszorzędne stanowisko za kordonem i należy obecnie do pisarzy najbardziej czytanych i lubianych. Henryk Sienkiewicz, piszący pod pseudonimem Litwosa, nie należy do pisarzy płodnych; kilka niewielkich powieści i nowel, umieszczanych w fejletonach dziennikarskich, z których tylko parę ukazało się w osobnych odbitkach i weszło do handlu księgarskiego, oto cały jego dobytek. Lecz ileż w tych małych ramach talentu, ile poezji, ile werwy, ile swojskiego humoru.

Już pierwsze jego prace, zatytułowane: „Humoreski z teki Worszyłły“ zjednały mu odrazu imię w świecie literackim. Utwory późniejsze dały dowód, iż talent jego rozwija się potężnie i gdyby Litwos nawet już nic więcej nie napisał, to imię jego zostałoby zawsze w szeregu pierwszych powieściopisarzy. Szkoda tylko, że młody autor odrywa się od lat paru od gruntu swojskiego i gdzieś wędruje po dalekich światach, szukając wrażeń, z których dla nas nic nie pozostaje. Parę lat błąkał się w pustyniach kalifornijskich i meksykańskich, obecnie siedzi w Paryżu i czeka stosownej chwili, żeby módz na Wschód pojechać. Trawi go bezowocna gorączka podróży, z której oby jak najprędzej się wyleczył.

Powieść, którą obecnie drukować zaczynamy, ukaże się niedługo w francuskiem tłumaczeniu, w czasopiśmie „*Revue des deux Mondes.*“

KORESPONDENCJE „TYGODNIA.“

Genewa, 21. grudnia 1878.

(*Zima i mieszkania. Escalade. Rozprawy w Radzie Wielkiej i referendum facultatif. Zakaz Awangardy i interpelacje w tej sprawie. Przykład wdzięczności za gościność szwajcarską. Reakcja. Jaqueline Bonhomme. Powieści francuskie. Matthey. Les nihilistes russes Zmyślona anegdota o Turowie*)

Mamy już od tygodnia przeszło prawdziwą zimę z śniegiem i mrozami. Śniegu tak dużo nasypało, że komunikacja po konnej żelaznej kolei była się przerwała przez kilka dni, a następnie kompanja kolejowa urządziła olbrzymie sanie z pięciu rzędbami ławek dla przewożenia publiczności. Takiej zimy już od ośmiu lat nie było tutaj, jak powiadają. i daje się ona bardzo dotkliwie uczuć nie na ulicy, ale w mieszkaniu. Bo też dziwnie nieopatrznie na zimno urządzone są mieszkania! Okna duże i rzadko zamykają się szczelnie; podwójnych nigdzie nie ma, a jeżeli kto z cudzoziemców, zmęczony zimnem, pozostawi takowe w spadku gospodarzowi, nie przeminie ten w dzienniku rządowym, *Feuille d'avis,* zawierającym same tylko ogłoszenia, urzędowe i prywatne, do przymiotów wynajmowanego mieszkania zaliczyć i to, że posiada podwójne okna. Pieców także, prócz kominków, nie ma zwyczaju urządzać w mieszkaniach. Wyjątkowo tylko znajdują się kaflowe piecyki (*catelles*), które, trzeba przyznać, prędko ogrzewają pokój i dość długo utrzymują w nim ciepło. Zresztą trzeba samym, chcąc bronić się od zimna, kupować żelazne piecyki lub kaloryfery. Dla ludzi bogatych te wszystkie niedogodności dają się rychło usunąć; ale biedni, chuchając w zziębłe ręce, najczęściej pocieszają siebie tylko tem, że zima nie długo trwać będzie. Jeżeli gdzie, to właśnie na zachodzie widoczną się staje cała wadliwość dzisiejszego indywidualnego systemu gospodarstw domowych. Pamiętam że na wygnaniu w Rosji rodziny polskie w celach oszczędności często łączyły swoje gospodarstwa, i było im z tem dobrze i dogodnie. Na zachodzie, gdzie opał i usługa domowa nader są drogie, korzyść z zespolonego prowadzenia gospodarstw byłaby jeszcze większa. Ale siła nawyknienia jest tak potężna, że ludzie wolą chuchać w ręce, wolą tracić niepotrzebnie sporo czasu w krzątaninie drobiazgowej domowego gospodarstwa, zamiast popróbować, czy nie możnaby było urządzić się dogodniej.

Właśnie podczas pierwszych dni, kiedy rozpoczynała się zima, przypadła corocznie obchodzona uroczystość narodowa, znana pod nazwą *Escalade,* co znaczy wdzieranie się na mury. Przypomina ona Genewczykom świetny czyn ich przodków z 1602 r. Zagrożona w swej niepodległości przez książąt sabaudzkich, Genewa na początku XVI stul. weszła w związek szwajcarski. Pomimo to ambitny Karol Emanuel I. zwany Wielkim, nie zrzekł się myśli przyłączenia jej do swoich posiadłości i w miesiącu grudniu 1602 r. starał się ją ubiedz nocną parą. Już żołnierze sabaudzcy wdzierali się byli na mury, kiedy lud genewski spostrzegł niebezpieczeństwo mu grożące i tłumnie pośpieszył do odparcia wroga. Dzielna obrona udaremniła ambitne plany księcia sabaudzkiego. Ważną tę chwilę w dziejach rzeczypospolitej genewskiej obchodzą tu dwudniową maskaradę, połączoną z odczytami, produkcją muzyczną i bankietem. Samo państwo bierze udział także w maskaradzie i co drugi rok tylko, ze względów na koszta, urządza pochód wojskowy w starożytnych kostiumach. W tym roku sama tylko ludność urządzała zabawę. Padający śnieg i dość silny mróz nie przeszkodziły licznym maskom włóczyć się po mieście aż do późnej nocy. Rej w zabawie prowadzili chłopaki, poprzebierani najrozmaiciej. Małemi oddziałami przebiegali ulice z improwizowanemi trębaczami na czele. Po drodze poprzebierane partje, męzkie i kobiece, wstępowały do kawiarń, których tu bez liku; tam śpiewały narodowe piosenki, francuskie i niemieckie, a następnie dokoła obchodziły gości, zbierając od nich monetę. Czasami śpiewy były wcale udatne, i sowicie je też wówczas wynagradzano; najczęściej jednak chłopaki chrypliwemi głosy recytowali wierszowane monologi zupełnie tak samo jak nasi, co chodzą z szopkami.

W Radzie Wielkiej odbywają się obecnie bardzo ważne i pouczające rozprawy. Chodzi o rozwinięcie dalsze konstytucji republikańskiej. Właśnie 11 grudnia obradowano nad wnioskiem Durant'a, żądającym prawa odwoływania się do powszechnego głosowania w sprawie uchwalonych ustaw (Referendum facultatif), 14 grudnia nad zmianą ustawy wyborczej w ten sposób, ażeby mniejszości mogły mieć także swoich przedstawicieli w Radzie (la représentation des minorités), którą to zmianę od wielu lat bardzo gorliwie popiera historyk tutejszej rzeczypospolitej, A. Roget. Oba wnioski zdają się mieć zapewnioną większość w izbie. Rozprawy nad Referendum wykazały zupełną słuszność porażki, którą w zeszłych miesiącach radykalno liberalne stronnictwo poniosło. Główny przywódca tego stronnictwa, Carteret, prawie sam jeden występował przeciwko wnioskowi Durant'a. W długiej mowie, pełnej sofizmatów, dowodził, że referendum stanowić

będzie raczej krok wsteczny, aniżeli postępowy w rozwoju konstytucji, że odwoływanie się od zgromadzenia światłego do tłumów ciemnych jest niedorzecznością, że z tego tylko skorzystają zwolennicy rządów papieskich. Argumentacją tę Carteret'a z wielkiem powodzeniem wynicowano. „Naród — powiedział Roget, może się mylić... tak samo jak i Wielka Rada; ale nie ocenia on, ażali ustawa jest dobra lub zła, tylko wydaje swój sąd co do tego, czy przedstawiona mu ustawa jest dla niego stosowną czy też nie. Przedstawicielstwo mniejszości i referendum skutecznie będą mogły ograniczać pewne samowładne dążenia zgromadzeń prawodawczych.“ Najdzielniej jednak pobił Carteret'a Henryk Fazy, syn zmarłego James'a i przywódca skrajnej lewicy. „Powiadają — rzekł — że Rada Wielka jest ciałem wyższem, a lud niższem (Carteret przerywa, krzycząc: nie mówiłem tego); że Rada Wielka wie, co robi, a Rada powszechna (*le Conseil général*) nie wie (znowu Carteret przerywa, wołając: nie mówiłem tego). Niewątpliwie, ale jest to prawdziwy sens pańskiego rozumowania! Otóż zbija je całkowicie ta okoliczność, że nikt nie zaprzecza ludowi genewskiemu zdolności niezbędnej do głosowania nad ustawami konstytucyjnemi [1]). Mówią o odstraszających przykładach [2]). Ale któż się to żali z powodu Referendum? Wszak nie lud, lecz tylko ci, którzy chcą narzucić mu postęp nawet pomimo jego woli, a przedewszystkiem roszczą sobie prawo pędzić go jakby stado jakie.“ Podług wniosku Durant'a, Referendum nie ma być obowiązujące (*obligatoire*) w każdym wypadku, lecz tylko wtedy, kiedy tego zażąda 4000 obywateli. Referendum ma być *facultatif*, nie zaś *obligatoire*, jak się tego domagają robotnicy.

Wielkie wzburzenie umysłów w całej Szwajcarji wywołał zakaz wydawnictwa dwutygodniowego pisemka: *L'avant-garde*, które wychodziło w Chaux-de Fonds, w kantonie neuchatel'skim. Był tu organ kolektywistyczny i anarchistyczny. Zakaz nastąpił z powodu artykułów, tchnących wielką sympatją dla Moncasi'ego i Passamente'go, a wydany został przez Radę związkową (Conseil fédéral), która — jak się zdaje — przestraszona krzykami reakcyjnych dzienników w Hiszpanji, Włoszech i Niemczech, wybrała sobie *Awangardę* za kozła ofiarnego. Pisano nawet w tutejszych dziennikach, że zakaz tej gazetki nastąpił w skutek wyraźnego żądania rządów: niemieckiego, rosyjskiego, hiszpańskiego i włoskiego, a niektóre nawet dodawały, że i austrjackiego. Temu jednak berneńska Rada związkowa zaprzeczyła, oświadczając, że żadnej noty podobnej treści nie otrzymała. Pomimo to jednak, niektóre dzienniki utrzymują, że jakkolwiek noty pisanej istotnie nie było, to wszakże ustnie żądali tego przedstawiciele wymienionych mocarstw. Cała szwajcarska prasa — rzec można — jednomyślnie potępiła ten krok Rady związkowej, upatrując w nim niebezpieczny precedens dla samodzielności kantonalnej i swobody druku. W Zgromadzeniu związkowem (Assemblée fédérale) wniesiono w tej sprawie interpelację, którą podpisali zarówno członkowie prawicy i lewicy, a pomiędzy nimi wszyscy czterej posłowie genewscy. Zapytują oni Radę federalną, dla czego raczej nie zaskarżyła ona do sądu wydawcę i redaktorów *Awangardy*, ale w drodze administracyjnej zawiesiła jej wydawnictwo, wzbudzając tem niepokój w umysłach całej ludności, dbałej o swobody swoje konstytucyjne. Prawdopodobnie, rząd federalny nie spodziewał się całej tej burzy z powodu pisemka anarchistycznego, niemile widzianego nawet przez większość tutejszych socjalistów, i dla tego tylko pozwolił sobie w ten sposób postąpić. W tych dniach ma odpowiadać na interpelację w imieniu Rady związkowej Anderwerts. Ciekawiśmy, co powie?

Pomiędzy dziennikami europejskiemi, które się gorszyły wolnością, jakiej używają w Szwajcarji rozmaite osobistości, ścigane przez rządy autokratyczne, gardłowała także potężnie i niemiecka gazeta, *Nord deutsche Zeitung*. Otóż przypomniano jej naczelnemu redaktorowi, Brass'owi, że sam po 1848 r. szukał schronienia w Szwajcarji, że otworzył był w Genewie księgarnię niemiecką i zbankrutował, a następnie przez lat kilkanaście żył ubogo z lekcji, aż wreszcie Bismark przypomniał sobie o nim i skaptował go na redaktora swego dziennika. Dzisiaj Brass, zostawszy w Berlinie kamienicznym panem, z wdzięczności za dawany niegdyś przytułek podszczuwa przeciwko szwajcarskiemu narodowi opinię reakcyjną Niemiec. Tak to często wywdzięczają się Szwajcarji rozmaici potentaci za doznaną w niej gościnność! Tak się wywdzięczał Napoleon III, tak się wywdzięcza dzisiejszy król hiszpański, Alfons V!

Sprawa *Awangardy* świadczy, że fale reakcji na całym lądzie europejskim przybierają. Zwłaszcza rząd niemiecko-pruski znęca się nad swoim narodem, jakby chcąc się przekonać, jak wielką jest jego cierpliwość.

> A gdy wreszcie olbrzym pełny gniewu powstanie,
> Dziwią się! Ależ ja wam powiadam: wasza to sprawa!
> Zapomniawszy o obowiązkach, o dobru publicznem,
> Sami stajecie się sprawcami waszych nieszczęść!

Czterowiersz ten wyjąłem z pięknego poemaciku Edwarda Grenier'a p. t. *Jacqueline Bonhomme*, tragedje moderne, który świeżo się ukazał na wystawach księgarskich. Opiewa w niej poeta wielką rewolucję, jej światłe i ciemne strony, ale zawsze ze współczuciem i prawdziwie poetycznym nastrojem. Rzecz godna przeczytania, a zwłaszcza dla naszej koborty poetów, aby wiedzieli, na jakie to tony nastrojona lira zaczyna gromadzić dokoła licznych słuchaczy.

Obfitość francuskich powieści z ostatnich czasów jest wielka, ale posiadających rzeczywistą wartość pomiędzy niemi bardzo mało. Zwróciły na siebie większą uwagę: *L'idée de Jean Téterol* (Myśl Jana Teterola) — Wiktora Cherbuliez'go, *L'Etoile de Jean* (Gwiazda Jana) — Mario Uchard'a, *Monsieur Pope* i ciąg jego dalszy *Le Voen de Marcienne* (Ślub Marcyjanny) — Ludwika Ulbacha, *Un drame à Constantinople* (Dramat w Stambule) par Leila Hanoum i *La revanche de Clodion* (Zemsta Klodiona) przez A. Matthey'a. Powieść Cherbuliez'go na tle dość nieprawdopodobnych stosunków przedstawia, w jaki sposób burżuazja wzbogacona wypycha szlachtę rodową z posiadanych przez nią ziem. Gwiazda Jana — Ucharda, drukowana poprzednio w *Revue de deux Mondes*, nie ma żadnej pretensji do prawdopodobieństwa — jak się wyraził pewny recenzent. Jest to bajka zajmująca i nic więcej. Bardzo zdolnym pisarzem jest Ludwik Ulbach, ale powieści jego piękne pod względem formy, zwykle grzeszą też jakąś nienaturalnością stosunków opisywanych. Przytem ckliwe romanse świata próżniaczego wydają się tak błahemi w obec twardych i przykrych warunków, w jakich znaczna większość pracować i cierpieć musi! *Dramat w Stambule* narobił podobno w Paryżu dość szumu, i istotnie jest to powieść wydatniejsza tak ze względu na ciekawość i dramatyczność opowiadania, jakoteż ze względu na szczegółowe i obrazowe przedstawienie życia i obyczajów tureckich. Powieści jest wielka — jak powiedziałem — obfitość, ponieważ każdy dziennik — a jest ich ogrom — drukuje jakąś, a następnie każda z nich pojawia się w handlu księgarskim jako osobna książka. Na początku tego roku *La France* zaczęła drukować powieść Matthey'a, która miała wielkie powodzenie. Obecnie zaczęła ta powieść wychodzić osobno zeszytami, ilustrowana przez Vierge'a. Sądząc z pierwszego zeszytu, który już się pojawił, jest to istotnie powieść najwydatniejsza z ostatnich czasów. Budząc zajęcie tak silne jak powieści Gaboriau, ma ona to do siebie, że wprowadza od razu czytelnika na arenę polityczną, stawiąc go między dwoma walczącymi obozami: republikańskim i reakcyjnym. Pod pseudonimem Matthey'a ukrył się podobno zdolny publicysta Artur Arnould, wychodźca z czasów komuny, zamieszkały w Genewie. Rozprawka jego *L'etat et la revolution*, w której dowodzi, że tylko rozległa decentralizacja może zapewnić wolność i spokój Francji, miała wielkie w tym kraju powodzenie, wnosząc z szybkiego jej rozkupienia.

Mówiąc o powieściach francuskich wypada jeszcze wspomnieć o wychodzącej w Zurichu p. t. *Les nihilistes russes ou la conspiration infernale*. Autorem jest Edward Bongard a wydawcą F. Artuzzi. Obaj brali udział w ostatnim naszym ruchu narodowym, a Bongard, skazany przez Moskali w 1862 r. jako rewolucyjny okręgowy naczelnik, pozostawał przez czas pewny na Syberji. Przy jego to aresztowaniu, młody Starzeński zabił z rewolweru kilku żandarmów i wreszcie samego siebie. Powieść Bongarda należy do owych przesadnych i efektowych, które pomimo małej wartości literackiej znajdują zawsze szerokie koła czytelników. Wprawdzie, autor wyprowadza na scenę prawdziwe osoby, często nawet pod własnem ich nazwiskiem, z małą tylko jego odmianą, ale stawia je w zupełnie fantastycznych sytuacjach. Opowiada npr. że car, rozgniewany potopem rewolucyjnych proklamacyj, drukowanych przez Antoniego Trussowa, objawił chęć, aby dostawiono go do Petersburga. Puścili się więc na wyprawę do Genewy: radca trzeciego wydziału, Philippens i ajent Trepowa, niejaki Labroche. Obaj działali potajemnie od siebie, ponieważ naczelnicy ich kopali wzajemnie pod sobą dołki. Philippens, przy pomocy najętych opryszków, porwał Trussowa z jego własnego mieszkania i wpakował go do skrzyni, głosząc wszystkim że wiezie do Petersburga mumię córki Rhampsinita. Skrzynię tę wraz z Trussowem wykradł z mieszkania Philippensa Labroche, który obawiając się pogoni, w Zurichu wynajął konie i puścił się bocznemi drogami w dalszą podróż. Właśnie gonił go wielki lubownik starożytności, bogaty Anglik, który namiętnie zapragnął posiąść mumię, słynną z dziejów egipskich. Gdy odrzucono jego propozycje pieniężne, postanowił użyć podstępu i siły. Wynajàwszy trzech potężnych drabów, napadł na Labrocha i odebrał mu skrzynię. W ten sposób Trussow ocalał od zemsty carskiej. Oczywista, wszystko to bajka, wytworzona przez bujną wyobraźnię autora Nihilistów, które zajmą poczesne miejsce obok Pamiętników Barbary Ubryk, Królowej Izabelli itd.

P. S. Interpelacja w sprawie *Awangardy* przyszła na porządek dzienny 19. grudnia. Przemawiali: Karol Vogt, poseł genewski i Gingins, poseł z ziemi Vaud. Obaj uderzali bardzo silnie na centralny berneński rząd. Gingins zakończył swoje przemówienie następnemi słowy: Naczelna federalna władza popełniła gwałt, a teraz dopuszcza się słabości, nie kończąc sprawy, którą rozpoczęła“. Skończyło się bowiem wszystko na wzięciu pisemnego zobowiązania od drukarza że nadal *Awangardy* drukować nie będzie. Radca Andervert, występujący w imieniu rządu, bronił się bardzo słabo.

B. L.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Wychodzącego od lat 10 pismo dla ludu *Włościanin i Zagroda*, które chwilowo zaprzestało było wychodzić, ukazał się z nowym rokiem numer pierwszy dziesiątego rocznika. *Oświata ludu* jest pierwszym obowiązkiem każdego narodu, a dla nas nie mającyh bytu politycznego jest kwestją życia. Pomimo tego, że oświata ludu jest dla naszego narodu tem, czem powietrze dla człowieka, my tak jesteśmy pogrążeni w apatji, że nic zgoła w tym kierunku nie czynimy. Dlatego też tem radośniej witamy każdy choćby najsłabszy objaw dobrych chęci na tem polu i z prawdziwą przyjemnością wzięliśmy do ręki wznowione wydawnictwo *Włościanina*.

W prowincji naszej żadne pismo ludowe nie ustaliło się i walcząc z trudnościami, utrzymując się ofiarą wydawców, każde po krótszym lub dłuższym żywocie upadało. Gdzież szukać tego przyczyny? W obojętności na sprawy ludowe szlachty i duchowieństwa? Zapewno po części, wszakże nie o to idzie aby ktoś dla ludu zapisywał pismo, ale aby ten sam lud interesował się pismem i trzymał je dla siebie. W Cieszynie wychodzi *Gwiazdka Cieszyńska*, a jakkolwiek księstwo cieszyńskie posiada małą ludność, pismo to ma dostateczną liczbę czytelników aby egzystować już blisko lat trzydzieście.

Naszem zdaniem wszystkie nasze pisma ludowe upadały dla tego, że redakcje nie potrafiły zainteresować dla pisma ludu. Spotykamy w tych pismach nieraz ładne powiastki, ciekawe wiadomości, udatne wierszyki, ale na tem i koniec. Jeżeli klasy wykształcone, dla których czytanie czasopism i dzienników, zdawać by się powinno, jest nieodbitą koniecznością, które oprócz tej potrzeby duchowej mają obfite środki na jej zaspokojenie i mają dużo czasu wolnego od pracy, jeżeli, powiadamy, klasy wykształcone z małemi wyjątkami obywają się bez wszelkiego pokarmu duchowego i nie nie czytają, to gdzież można wymagać od biednego ludu, aby pojmował potrzebę czytania, aby w czytaniu szukał przyjemnej rozrywki.

---

[1]) Wszelaka zmiana w ustawie konstytucyjnej wymaga tu powszechnego głosowania.

[2]) Referendum już istnieje w niektórych kantonach.

Pierwszym obowiązkiem redaktora pisma ludowego jest znać lud, jego potrzeby, jego biedy, pragnienia i dążenie. Powinien on stać zupełnie na stanowisku chłopa, wspierać go radą we wszystkich jego potrzebach, bronić go przed wszelkiem wyzyskiwaniem, objaśniać go o jego prawach i obowiązkach i dążyć do polepszenia jego losu. Jak chłop zobaczy że pismo jest jego przyjacielem, że dba o jego dobro, że go broni i uczy rzeczy pożytecznych, nabierze przekonania, że czytanie wychodzi mu na pożytek i nie pożałuje parę reńskich na prenumeratę. Dopiero wiadomości dalsze, polityka i historja i tp. powinny być traktowane jako rzecz dodatkowa, a w każdym razie z wyraźną tendencją mającą na celu dobro i pożytek ludu.

Tego wszystkiego nie spotykaliśmy dotąd w żadnem piśmie ludowem i temu to przypisujemy niepowodzenia wszystkich tego rodzaju wydawnictw. Główną tendencją wszystkich pism ludowych jest propaganda religijna. Zkąd redakcja bierze powołanie do tej propagandy? Zkąd to przekonanie, że ona potrafi zaszczepić w ludzie zasady wiary lepiej niż to czynią księża. Ależ tysiące pasterzy za zadanie całego życia ma tę propagandę i redakcja kilkunastu artykułami ani odrobiny przyczynić się do tego dzieła nie może, a tymczasem zapełnia tem wszystkie szpalty swojego pisma, które staje się dla ludu zupełnie zbytecznem. Zadanie zaś, które redakcja niebacznie opuszcza, biorą na siebie pokątni doradzcy i prowadzą lud na manowce.

Nowy numer *Włościanina* niestety idzie również drogą niepraktyczną. Artykuł wstępny jest kazaniem. Wierny sługa, powiastka bardzo moralizująca, ale nie zrozumiała dla ludu i bezcelowa. Dział przyrodniczo-ekonomiczny zawiera kilka słów o kocie, napisany bardzo dobrze i jest jedynym artykułem w całym numerze, który do pisma ludowego kwalifikuje się, ale tylko dodatkowo. Rozmaitości fatalnie zebrane, oprócz jednej wiadomości o nowych przepisach pocztowych inne nie mają żadnego znaczenia dla ludu albo nawet są bałamutne. W *Zagrodzie* spotykamy wybornie napisany artykuł: Geografia popularna ziem polskich. To trochę za mało, zwłaszcza że nie ma nic z tego co stanowi główne zadanie pisma ludowego. Wprawdzie w wstępnych numerach redakcja musiała dużo miejsca poświęcić na prospekt i inne wiadomości administracyjne, a w następnych będzie mogła już swobodniej rozwijać swój program, ale przedewszystkiem należy zmienić ton moralizujący i kaznodziejski. Lud w swej prostocie nie potrzebuje morałów i jest on w gruncie moralniejszym od nas, co dla niego morały piszemy. Starajmy się go tylko oświecać dostarczać mu tych wiadomości, które wpływać mogą na podniesienie jego dobrobytu.

Nie chcemy tymi uwagami zrażać nikogo do rozpowszechnienia między ludem *Włościanina*, i owszem z przyjemnością przyznajemy iż nie znaleźliśmy w nim ani jednej fałszywej nuty, jakie wytknąć byliśmy zmuszeni *Wieńcowi i Pszczółce* i innym pismom ludowym lwowskim. *Włościanin* jest niewątpliwie najlepszem z pism ludowych w Galicji, wypowiedzieliśmy tylko nasze zapatrywania w jakim kierunku wypadałoby go rozwinąć.

Prenumerata na *Włościanina i Zagrodę* wynosi rocznie 5 zł. adres redakcji *Kraków, 371 ul. Florjańska.*

*** Dowiadujemy się iż *San*, dwutygodnik wychodzący w Przemyślu zamieni się wkrótce na pismo tygodniowe. Wyborne to pismo może służyć za wzór pismom prowincjanalnym. Byłoby tylko pożądanem aby redakcja więcej miejsca poświęcała sprawom literackim.

*** *Dwutygodnika naukowego* poświęconego archeologii, historji i lingwistyce, wychodzącego pod redakcją Teodora Ziemięckiego Nr. 24 zawiera: Mieszkańcy osad nawodnych przez T. Ziemięckiego; Siedziby Rusinów wzdłuż Karpat, przez M. Chylińskiego; Wiadomości drobne.

*** Wincenty Zakrzewski, prof. uniw. krakowskiego wydał obszerne dzieło p. t. *Po ucieczce Henryka.*

*** *Strzecha ojczysta* pod tym tytułem ma wychodzić od nowego roku czasopismo literackie we Lwowie co dni dziesięć. Jako redaktorów wymieniają pp. A. J. O. Rogosza i Władysława Ordona.

*** W Krakowie opuścił prasę tom I. *Historji pierwotnej Polskiej* Juljana Bartoszewicza, całe dzieło w 4 tomach wyjdzie w ciągu roku 1879. Dzieło to, które autor zapowiedział przed dwudziestu kilku laty po raz pierwszy ukazało się obecnie z druku, wydane staraniem i nakładem syna śp. Juljana.

Tom I. zawiera epokę od najdawniejszych czasów, którą traktowali w obszernych studjach Lelewel, Bielowski, Maciejowski i Szajnocha, i kończy się ze śmiercią Mieczysława I. Bartoszewicz nie poszedł w ślady swoich poprzedników, z których każdy inną hipotezę postawił, ale podaje wiadomości pewne; to też mniej się zabawia czasami przedhistorycznemi, za to obszernie i wyczerpująco traktuje dzieje pewne Niepospolita erudycja autora, głęboka i wszechstronna krytyka pozwala nam mieć nadzieję że dziełem swojem ostatecznie wyjaśni tę epokę dziejów naszych.

Wyczerpujące sprawozdanie z powyższej książki podamy wkrótce.

*** Artyści polscy w Rzymie otworzyli tam „czytelnię polską.“

*** Hans Makart, słynny twórca „Wjazdu Karola V“, mianowany został prezesem wiedeńskiego Künstlerhauzu.

*** *Towarzysz pilnych dzieci*, wychodzący pod redakcją p. Władysława Bełzy, z pierwszym, noworocznym numerem, wystąpił w nowej szacie. Ozdabia go stosowna winieta ołówka Juljusza Kossaka, wyobrażająca Chrystusa w gronie dzieci. Znajdujemy w tym numerze powiastkę pióra Kraszewskiego — historję polską wybornie opowiedzianą małej Jadwini — życiorys z ryciną p. Sawczyńskiego — opowiadanie p. Bełzy o trzech matkach — wierszyk o niegrzecznej Lutce i rozmaitości. Spodziewamy się, że publiczność poprze serdecznie usiłowania redakcji, zwłaszcza, że jest to pisemko jedyne u nas w swym rodzaju i zalecające się obok odpowiedniej treści, nadzwyczajną taniością. Kwartalnie bowiem kosztuje we Lwowie 1 złr.. na prowincji 1 złr. 20 ct. Skład główny i ekspedycja „Towarzysza“ mieści się w Księgarni Polskiej, dokąd należy się zgłaszać z prenumeratą.

Szkoły.

*** Uniwersytet warszawski w roku bieżącym liczy 538 studentów, z których 349 katolików, 104 prawosławnych, 67 mojżeszowego wyznania, 15 protestantów, 1 greko-ormianin i 1 mahometanin.

*** Do reformy szkół średnich w Galicyi. Na zebraniu zwołanem *ad hoc*, pisze korespondent ze Lwowa do „Gaz. War.“ przez prof. politechniki Maszkowskiego postanowiono wybrać specyalną, z pedagogów i w ogóle ludzi zajmujących się szkolnictwem złożoną *komisję*, która ma wygotować szczegółowy plan reformy szkół średnich. Do komisji wybrano: z pedagogów rektora politechniki pana Władysława Zajączkowskiego, dyrektora gimnazjum Samolewicza, profesorów: Gerstmana, Maszkowskiego Petelenza, Freunda, Frankego i Benoniego, z niepedagogów zaś: Błotnickiego i Romanowicza. Komisya ta, po dwumiesięcznej pracy, uchwaliła już plan reformy szkół średnich, który złożony zostanie Towarzystwu pedagogicznemu, następnie radzie szkolnej krajowej a w końcu ministerjum.

Uchwalono podobno znieść zupełnie dotychczasowy podział na gimnazya i szkoły realne i utworzyć jedną ośmioklasową szkołę średnią, któraby młodzież zarówno do uniwersytetu jak i do politechniki przygotowywała. Zniesiony ma być także podział gimnazjów na (4-klasowe) i wyższe, a rozkład nauk ułożony w taki sposób, że w klasach niższych mają być głównie wykładane języki, w wyższych zaś przedmioty realne. Projekt zresztą dotyka wielu bardzo kwestji z zakresu pedagogiki i urządzenia szkół.

Odkrycia i wynalazki.

*** Rozwój mikrofonu. Mechanik Oerther wystąpił z nowym mikrofonem, prostszym od Edisonowego, zajęty zaś opracowaniem tak małego, ażeby mógł być noszony w kieszeni. Według doniesień Palmierego z Neapolu, przyrząd ten znalazł nowe zastosowanie przy zjawiskach wulkanicznych. Mianowicie prof. Michele Stefano de Rossi dostrzegł w swojem obserwatorjum Palmierego i wraz z nim zwiedził krater przy Pozzuoli, gdzie podziemna praca sił tak wyraźnie słyszeć się dała, że niektórzy z obecnych przerazili się.

*** Tachygraf. Na odbytych niedawno konferencjach niemieckich techników w Stutgardzie, pomiędzy niektóremi nowościami w zakresie dróg żelaznych, przedstawiono przyrząd do oznaczania i kontrolowania szybkości biegu pociągów, który wynalazca Jerzy Göbel, fabrykant machin z Darmstadu, nazwał tachygrafem. Przyrząd ten, umieszczony przy osi koła pociągowego, oznacza na taśmie papierowej czas biegu i postoju pociągu w minutach i sekundach. Graficzny ten kontroler, wskazuje z całą dokładnością chwilę wyruszenia ze stacji lub przybycia pociągu, wskazuje nadto szybkość jego biegu na otwartych przestrzeniach i nakoniec, daje możność skontrolowania, czy w miejscach wymagających zwolnionej jazdy, takowa przez maszynistę nie była pominiętą. Czynione na niektórych drogach żel. niem. próby z tachygrafem, i pożądane ich rezultaty, wpłyną zapewne na upowszechnienie tego przyrządu.

*** Budowa teleskopów, ulepszeniu której tyle wynalazków zawdzięczamy w dziedzinie astronomii, wciąż postępuje. Przed 25 laty najlepsze narzędzia obserwacyjne mieli Włosi, wtedy sprowadzono do Rzymu i Palermo sławne refraktory Merz'a o 25 centymetrach średnicy a pod Florencją ustanowiono nawet 30 centymetrowy. Dwa tylko zakłady w Europie miały silniejsze: Pułkowski i Kembrydzki, oba o 38 centymetrach średnicy. Ale postęp naukowy odbywa się tak szybko, że co przed 25ciu laty było znakomitem, dziś jest niedostatecznem. Jeżeli mimo to włoscy uczeni dzielnie podtrzymywali sławę astronomiczną swej ojczyzny, przypisać to należy w części wielkim ich zdolnościom umysłowym, w części zajmowaniu się robotami, nie wymagającemi nadzwyczajnych powiększeń Przewrót w nowożytnych instrumentach datuje się od 1860 r. W nim to udało się malarzowi Alvan Clark w Bostonie zrobić objektyw o 45 calach średnicy dla obserwatorjum w Chicago. Szczęśliwy fabrykant odkrył zaraz satelitę Syrjusza. Od tej chwili zgasła sława mnichowskiego Merz'a, który jeden miał przywilej dostarczania teleskopów wielkim zakładom naukowym. Anglicy zazdroszcząc amerykanom najmniejszego powodzenia, postanowili przewyższyć ich teleskop. Wielki bogacz pan Newall w Gateshead spowadził sobie z Nowego Yorku szlifierza Cooke i obiecał mu królewskie wynagrodzenie jeżeli przesadzi objektyw Alvana Clark. Świetnie wywiązał się Cooke z polecenia, bo zrobiwszy 62 centymetrowy objektyw, umieścił go w teleskopie 12 metrów długim w Gateshead. Zadowolenie anglików nie znało granic ale czujni amerykanie krótko im się pozwolili cieszyć wawrzynami. Dyrektor obserwatorjum narodowego Waszyngtonu kazał dokładnie zbadać teleskop w Gateshead a potem zapytać Alvan'a Clark, czy potrafi zrobić instrument jeszcze doskonalszy. Ten bez wahania zabrał się do roboty i przewyższył nietylko rywala, lecz poniekąd siebie samego, ulawszy objektyw 66 centymetrowy. Tak powstał słynny refraktor waszyngtoński, duma Stanów Zjednoczonych, największy w tym rodzaju instrument, mający 13 metrów długości.

ROZMAITOŚCI.

*** Klasyczne wspomnienie. Jedno z pism francuskich podaje następujący złośliwy dyalog:

Było to nazajutrz po fakcie porwania sabinek. Okazało się, że jeden z Sabinów bardziej się łzami zalewał od innych. Sąsiad, którego te lamenty znudziły, ozwał się do płaczącego towarzysza: „Niemasz powodu więcej od nas się martwić — wszak i nam porwano nasze żony — nie jesteś więc bardziej godnym pożałowania.“ Zapewne — odrzekł strapiony — gdyby tylko o to chodziło; ale cóż, kiedy żony mej nie było w czasie porwania, zostawiłem ją w domu.“

*** Jubileusz drukarski. W krótkim czasie przypada trzechsetletnia rocznica założenia pierwszej drukarni w Warszawie. Z powodu tego w kołach drukarskich podjętą została myśl uroczystego obchodu rocznicy, przyczem proponują założenie specjalnego muzeum drukarskiego, któreby mogłoby być przyłączonem do istniejącego już ogólnego Muzeum Przemysłowego. Projekt to dobry i wiele obiecujący. Przy nim wyłoni się może niejedna jeszcze myśl pożyteczna, a serdeczniejsze zbliżenie się przedstawicieli naszego świata drukarskiego obudzi drzemiące poczucie solidarności wzajemnej i przyczyni się do zawiązania kasy pożyczkowej lub jakiej podobnej instytucji.

GOŁĘBIE ŚW. MARKA.

Wspomnienie z czasów austrjackich.

W dawnej Wenecji dwie były rzeczypospolite: jedna wenecka, druga rzeczpospolita gołębi. Ten naród żeglarzy, co zbudował sobie stolicę na pełnem morzu — z dawien dawna polubił gołębie, niekoniecznie wprawdzie dla tego, aby zjadać z nich potrawki, jak naprzykład, Francuzi; ale że przypominały mu gołębia wypuszczonego z arki. Gołębie weneckie z całą swobodą zlatywały na każdy okręt dopływający do Lido z dalekiej zamorskiej podróży, a widok ulubionych ptaków zwiastował przybywającym radośną nowinę, że już stanęli u celu.

Niektórzy, zapaleńsi Wenecjanie, zabierali z sobą gołębie jako pamiątkę po nieobecnej ojczyźnie, głównie zaś jako „posłanników miłości". Nieraz gołąb taki tysiące mil przebywał, aby na placu św. Marka złożyć wieść pomyślną żonie lub kochance oddalonego wędrowca: wstążeczka w kolorach Wenecji była wystarczającym znakiem miłości i wesela. Często się jednak zdarzało, że gołąb powracał z uszkodzonem skrzydełkiem, jako zwiastun żałoby: wypuszczono go bowiem w chwili rozbicia się okrętu, przynosił z sobą tylko ostatni pocałunek, jaki sumiennie oddawał; gdyż wszystkie oczekujące na wiadomość kobiety, patrycjuszki czy niewiasty z gminu, codziennie zbierały się na placu św. Marka, badając każdego gołębia, czy nie ma listu dla nich.

Gołębie św. Marka mają swoją własną historję. Nie będę tu powtarzać wszystkich legend jakie o nich krążą; opowiem tylko jedną z najświeższych, którą cała Wenecja pamięta, a która mnie samemu łzy wycisnęła.

Poczciwe gołąbki! a przecież i ich nie oszczędziła świętokradzka ręka! Było to w roku 1849. W Wenecji istniała jeszcze Rzeczpospolita — jutrzenka, która nie miała nigdy ujrzeć wschodzącego słońca. W owym dniu rzucono się na gołębie, aby je pożreć. Ale po iluż dniach głodu! Wśród heroicznej obrony — wierne bowiem dzieci Wenecji, jak lwy broniły swej matki — zapomniano, że już od kilku dni zabrakło zupełnie zapasów żywności w mieście. Wówczas dopiero pomyślano o gołębiach i urządzono ogólne polowanie na uprzywilejowane dotąd ptaki, a jeśli wierzyć można Wenecjanom, to mnóstwo gołębi, które w pierwszej chwili popłochu zdołały uciec na sąsiednie wysepki, same dobrowolnie powracały, narażając się na śmierć nieochybną dla ocalenia zagrożonej głodem ojczyzny.

Trzeba także przyznać na chlubę Wenecjan, że po tej pierwszej i jedynej rzezi, postanowili jednozgodnie, że na przyszłość raczej umrą z głodu, aniżeli posuną się do tępienia niewinnych stworzeń, co dla Wenecji musiałoby nieszczęście sprowadzić.

Od roku 1849 gołębie, nie będące bynajmniej mściwemi, całemi tłumami zlatują się na codzienny posiłek, chwytany prosto z rąk mieszkańców. Trzeba być obecnym przy takiej uczcie, aby mieć pojęcie o ich ułaskawieniu. Najwyżej jeżeli na jeden lub dwa kroki odskoczą, żeby ustąpić ci z drogi. Siadają na ramionach gondolierów; dość okno otworzyć, a wlatują zaraz do pokoju z powitaniem cudzoziemca. Podczas gdy piszę te słowa, dwa z nich spacerują sobie i dzióbią po moim stoliku. Przed chwilą całe stado opadło przekupkę warzywa siedzącą pod mojem oknem, która właśnie zabierała się do śniadania. Biedna kobiecina niedługo jeść potrzebowała, dzięki pomocy swych gości.

Na kościołach i gmachach Wenecji znajduje się mnóstwo posągów, statuetek, hipogryfów, akantów liściastych, lwów, jednorożców, całe bogactwo maurytańskiej i gotyckiej architektury, przeróżne ozdoby średniowieczne i z czasów odrodzenia. Nie wiem czy gołębie weneckie zamiłowane są w sztukach pięknych, ale gnieżdżą się one pod wszystkiemi temi arcydziełami. Licząc zaś na każdą oddzielną rzeźbę jedno tylko gniazdko, to gniazd samych będzie około trzech tysięcy.

W ostatnich chwilach panowania austrjackiego w Wenecji i gołębie bunt podniosły. Pewnego poranku setki ich ukazały się na placu św. Marka, niosąc sztandar zakazany, to jest, każdy z nich miał na szyjce wstążeczkę o barwach włoskich. Cała publiczność zapełniająca zwykle o tej porze plac św. Marka, hucznemi oklaskami powitała przybyszów. Kto przybrał i wystroił całą tę rzeszę niewinnych rewolucjonistów, dotąd pozostało niewyjaśnioną tajemnicą. Czarujący to był widok patrzeć na te rozkoszne stworzenia, drepczące na różowych nóżkach i podlatujące w około, jak gdyby pysznić się chciały narodowym swym strojem. Można też sobie wyobrazić ile pokruszonych ciastek znajdowały na bruku! *Miei cari piccolini.*

O mało nie poduszono je ciastkami i całusami. Gołębie świętego Marka nigdy nie zaznały podobnej fety.

Ale w Wenecji nie sami tylko znajdowali się Włosi. Wśród ogólnego rozweselenia zapomniano o Austrjakach. I oto nagle cała załoga zaalarmowana, jak gdyby Katylina stanął przed bramami Rzymu. Kilku oficerów austrjackich, którzy jedli śniadanie w kawiarni *Florian* i w *Quadri*, wyszli na plac, a jako ludzie rozsądni, przyglądali się spokojnie widowisku, nie posądzając ani Wiktora Emanuela, ani Garibaldego, rozumowali bowiem bardzo słusznie, że skoro rząd austrjacki udzielił debit do Wenecji dziennikom opozycyjnym, toż nie może obrazić się taką ptasią demonstracją.

Na nieszczęście, jak wszędzie i zawsze tak i tu sprawdziło się, że największą klęską narodów są gorliwcy, jak to mówią, więksi papiści od samego papieża. Przybiegli na plac podoficerowie austrjaccy a ujrzawszy co się dzieje, przekonani byli, że to wybuch powstania. Ich zdanie przeważyło widocznie w decydujących sferach: gondolierom i ulicznikom przyobiecano nagrodę za głowę każdego zbuntowanego gołębia; ale gondolierzy powrócili do swoich gondol, a ulicznicy uznali, że nie warto trudnić się dla takiego głupstwa. Skonsygnowano więc wojsko; armaty na placu św. Marka nabito drobnym nabojem i kanonierzy z zapalonemi lontami czekali rozkazu.

Oddział piechoty wystąpił na plac w bojowym szyku i po trzechkrotnem wezwaniu do rozejścia się, dano ognia. Jak zwykle dzieje się w podobnych wypadkach, postrzelono nie tylko zbuntowane gołębie ale i wiele osób z publiczności.

Jeden krzyk boleści podniósł się w całej Wenecji. Mordować gołębie świętego Marka, to tak samo jak gdyby rzucić się na samego świętego, to też wszyscy będący na placu, mężczyźni, kobiety i dzieci, otoczyli żołnierzy prosząc ich ze łzami w oczach aby przerwali rzeź niewiniątek, a oni sami pozdejmują buntownikom rewolucyjne oznaki. W istocie, przez cały ten dzień zwabiano nastraszone gołębie i uwalniano je od zakazanych wstążeczek

Pomimo to, znalazła się pewna liczba gołębi, gorętszych patrjotów, niechcących rozstać się z trójkolorową kokardą.

Garstka tych „nieprzejednanych" pojawiała się od czasu do czasu na Placu św. Marka, rozumie się, zawsze podczas nieobecności żołnierzy austrjackich, ale w końcu i ci emisarjusze znikli z oczu.

Czas już jednak przystąpić do przyobiecanej historji.

Znałem w Wenecji panią magrabinę Felicję *., której pałac wznosi się w samym środku Wielkiego Kanału. Podziwiałem maleńką jej galerję obrazów, mieszczącą w sobie tylko dwanaście arcydzieł, ani jednego płótna więcej, co świadczy o wytwornym guście margrabiny, gdyż w Wenecyi łatwiej jest niż gdziekolwiek indziej o liche malowidła, ale nieporównanie trudniej o prawdziwie dobre obrazy.

Z galerji przeszliśmy oboje na balkon; ona dla miłości słońca, ja dla oglądania architektury. W tejże chwili nadleciało kilka gołębi. Markiza pieściła je i całowała z serdecznością istnie rozczulającą.

— To namiętność prawdziwa, pani! — rzekłem wskazując na gruchające obok niej ptaki.

— O tak, panie, gołębie te są upostaciowaną duszą Wenecji! Widzisz pan tego naprzykład — dodała, biorąc do ręki pięknego gołębia — jest on z liczby owych nieśmiertelnych, co pierwsze przybrały się w narodowe kolory.

— Ah, prawda! — zawołałem — mówiono mi, żeś pani udała się na Plac św. Marka podczas rzezi niewiniątek, i pokrwawiłaś białe swe rączki opatrując rannych.

— Skoro pan słyszałeś już o tem — odparła markiza — powierzę panu pewną tajemnicę, ale pod największym sekretem.

— Przysięgam, że go dochowam, jak gdybym przysiągł przed Radą dziesięciu, w owych czasach, gdy jeszcze mury miały uszy!

Margrabina wróciła do galerji i poprosiła mnie z sobą.

— Nie chciałam panu pokazać mojego portretu — rzekła — gdy nie wpuszczam nikogo do tego saloniku, w którym nieboszczyk mąż mój miał swoją bibljotekę.

Uchyliła boczne drzwi i wpuściła mnie pierwszego.

Zaledwie przebyłem próg tego sanctuarjum, ponad głową moją przeleciał spłoszony gołąb.

— Niech to pana nie dziwi, że ucieka — przemówiła margrabina drzwi zamykając. Wziął pana za Austrjaka. Ale ja go zaraz uspokoję.

Był to jeden z owych słynnych rewolucjonistów z Placu św. Marka. Na szyjce miał jeszcze buntowniczą kokardę. Markiza przywołała go, wzięła do ręki, pocałowała delikatnie i wzajemny przyjęła kares.

— Zapewne jeden z pacjentów pani? — zapytałem.

— Tak jest, uratowałam go od niechybnej śmierci. *Povero piccolino!* mocno był ranny, zaledwie już poruszał skrzydełkami. Ukryłam go pod szalem i przyniosłam tutaj. A teraz masz pan dowód jak umiem pielęgnować rannych, zdrowszy jest niż był kiedykolwiek. Ale lękam się go wypuścić na wolność, żeby mi go nie zabili.

— Czy nie możesz pani zatrzymać wstążeczkę, a gołębia wypuścić? bo bądź co bądź, zdaje mi się, że milszą by mu była wolność nad lagunami, aniżeli to złocone więzienie.

— To prawda, ale nie mogę się zdecydować na zdjęcie wstążeczki. Mój ukochany gołąbek powracający na Plac św. Marka bez swojej kokardy, nie byłżeby do pewnego stopnia Maninem, wstępującym bez sztandaru narodowego do ujarzmionej Wenecji?...

Takie było przekonanie margrabiny.

W kilka dni później rozeszła się po mieście pogłoska — proszę mi uwierzyć, że nie ja ją rozpuściłem — iż margrabina * ukrywa w swoim pałacu niebezpiecznego rewolucjonistę.

W nieobecności gubernatora, podrzędne władze policyjne zarządziły obławę, żeby zaś spiskowiec nie mógł uciec, otoczono pałac ze wszystkich stron na lądzie i na wodzie.

Zapomniano o oknach!

Margrabina widząc, że sprawa przybiera groźne rozmiary, wyszła naprzeciw nieproszonych gości i z doskonale udanym niepokojem i trwogą, błagała ich o oszczędzenie jej wstydu rewizji domowej. Ale czem bardziej wydawała się strwożoną, tem nieugiętsi byli policjanci, liczący już na wspaniałą zdobycz.

Przetrzęśli cały pałac aż do poddasza, nakoniec weszli do małego saloniku, w którym margrabina stała przy otwartem oknie. Tuliła w obu rękach kochanego więźnia — co mówię? — gościa uwielbianego, okrywając go łzami i pocałunkami.

Gdy policjanci próg przestąpili, margrabina zwróciła się dumnie ku nim i pokazując gołębia zawołała:

— Oto jest rewolucjonista, oto spiskowiec, oto Wenecjanin prawdziwy!

Rozwścieczeni policjanci takim rezultatem swej wyprawy, rzucili się naprzód, aby chociaż na gołębiu wywrzeć zemstę.

Ale i w tem się grubo pomylili.

Gdy już już mieli pochwycić buntownika, margrabina podniosła rękę i puściła go na wolność.

— *Addio! caro mio!*

Gołąb, który dobrowolnie nie opuściłby może pałacu, ujrzawszy Austrjaków, uleciał pędem strzały.

— Ognia! — dał się słyszeć głos zaciekłego służbisty.

Ile karabinowych strzałów padło za skrzydlatym zbiegiem, trudno obliczyć. Strzelano z dołu i z góry, z poddasza i z gondol stojących w Kanale; margrabina ze strachu przymknęła oczy, robiąc sobie wyrzuty, że wywołaniem takiej wściekłości naraziła swego ulubieńca na niebezpieczeństwo.

Rewolucjonista tymczasem spoczął przez chwilę na szczycie kościoła *Santa Maria della Saluta*, a przesławszy ostatnie pożegnanie swojej opiekunce, zdrów i cały odleciał w kierunku Adrjatyku.

Kiedy historya powyższa doszła przez pocztę gołębią do Wiednia, cesarz austrjacki wydał rozkaz aby szanowano gołębie św. Marka i żywiono je kosztem państwa, bez względu na ich polityczne przekonania.

Arsène Houssaye.

Od Redakcji.

Wszystkim czytelniom, towarzystwom, kasynom i t. p. które w liczbie około stu zgłosiły się o nadsyłanie pisma naszego bezpłatnie, odpowiadamy iż tego uczynić nie możemy, gdyż papier, druk, honorarja autorskie, stempel, pocztę i t. d. musimy opłacać. Gdybyśmy mieli przychód większy nad rozchód to... przedewszystkiem zniżylibyśmy cenę pisma.

Treść Nr. 1.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.